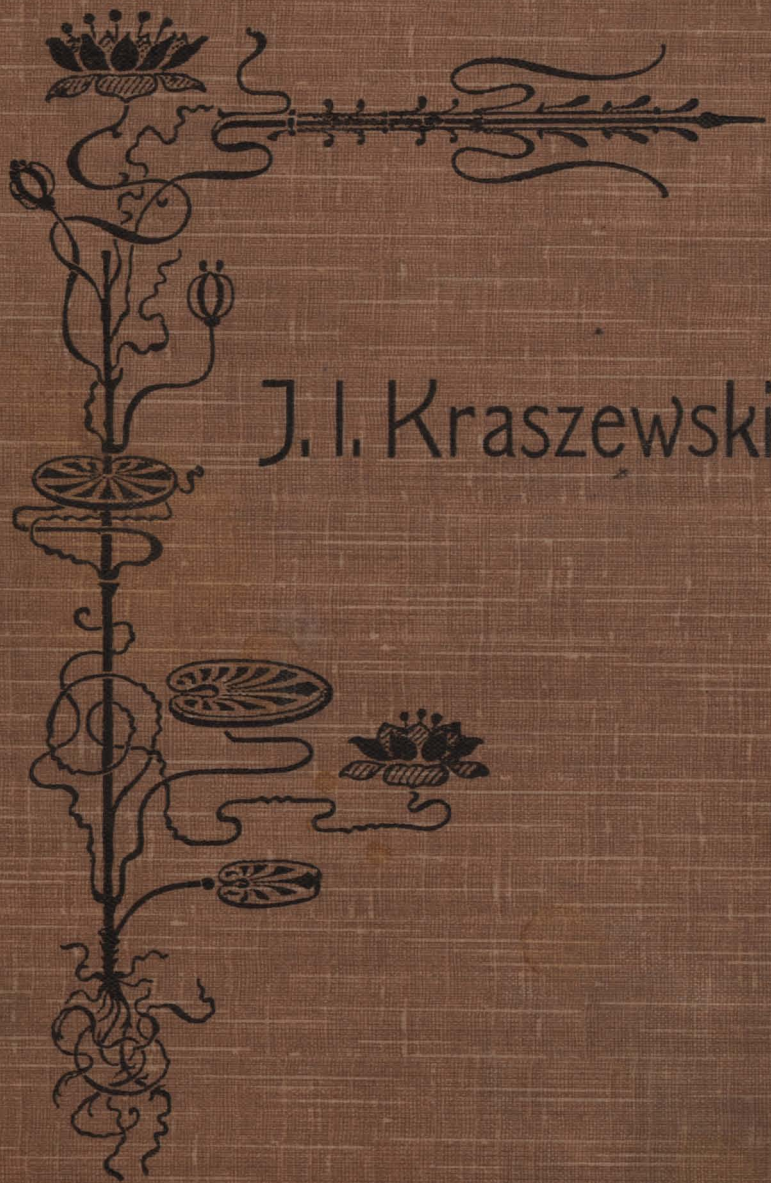




J. I. Kraszewski

POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom trzydziesty czwarty.

JELITA.

LEGENDA HERBOWA

z roku 1331.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Korciak

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1889.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Декабря 1888 года.



mu/m/ 285

~~~~~  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr. 9.

I.

Przed ołtarzem niedawno wzniesionym w kościele zamkowym na Wawelu, odprawiała się msza święta.

Ołtarz to był kosztem króla poświęcony patronowi jego, Władysławowi świętemu i przed nim teraz król i królowa Jadwiga, modlili się, bo tego dnia Łoktek miał przeciw Krzyżakom wyruszyć w pole. Oddziały jedne już przodem wyszły z obozowisk, drugie się gotowały ciągnąć.

Dzień był jesienny, niebo ołowianą zasłoną obciążone całe, powietrze ciche; natura jakby usypiająca i znużona. Na wielu drzewach liść już był pożółkły, z innych opadać zaczynał. Dymy z kominów miejskich wlokły się nisko i rozkładały po nad ziemię.

Są takie dnie, jak ten był, gdy wszyscy czują, jakby im czegoś do życia brakło, jakby odpadała ochota — nie obiecywało nie jutro, a groziło czemś nieznanem i strasznem.

Taki ciężar i teraz leżał na duszach tych ludzi, którzy króla otaczali.

On sam zwykle wesół i ochoczy, gdy się na wojnę wybierał, nieustraszony niebezpieczeństwem żadnem, zaspiony był, milczący, chmurny.

W ciągu kilku dni ostatnich coraz bardziej niepokojące nadchodziły wieści od Wielkopolski i Krzyżac-



kiej granicy. Potwierdzała się knowana zdrada wojewody Wincza z Pomorzan, i znoszenie się jego z Krzyżakami.

Mniej się tego może lękał król dla siebie i dla kraju, jak dla syna.

Każmierz miał przy sobie statecznego męża Nekandę, lecz młody był, nieopatrzny, i choć mu na mężtwie nie zbywało, w rzemiośle rycerskiem mniej wprawny, niż inni jego rówieśnicy książęcego rodu bywać zwykli. Dziecię tego ojca, który przez pół wieku nie spoczął nigdy, z orężem ciągle i na koniu dobijając się i broniąc korony swej — Każmierz tą sprzecznością, która jest tajemnicą, a powtarza się często w następstwie pokoleń po sobie, nie miłował tak wojny jak ojciec, obojętnym był dla spraw rycerskich i wołał życie w pokoju i pracy gospodarskiej... a rządnej.

Obawiał się Łoktek, aby w chwili niebezpieczeństwa, sama nieznajomość jego, zuchwałym go nie uczyniła.

Ku Poznaniowi teraz i król i królowa zwracali tęskne oczy, radzi się co o syneczku dowiedzieć.

W nim oni żyli oboje.

Posłowie, którzy przynosili różne wieści, o królewiczu mało wiedzieli. Mówiono, że miał wyciągnąć, dokąd nie powiadano, bo dla bezpieczeństwa tać musiano, schronienie jego.

Król dnia tego sam za wojskiem wyruszyć miał.

Wiedziano już, że Jan, król czeski, który się razem i polskim nazywał, miał z Krzyżakami razem uderzyć na Polskę. Zakon czekał na niego, z nad Renu, z Infant posilki do Malbarga i Torunia już nadeszły. Czechy się ociągali.

Uwiadomiony o tem król, chciał korzystać z opóźnienia i na Krzyżaków uderzyć, nimby się z Czechami połączyli.

Pobożna królowa Jadwiga, przed odjazdem małżonka pociągnęła przed ołtarz patrona.

Cały wojenny dwór pański, który razem z nim się wybierał w pole, zajmował szczupły naówczas kościół i kaplicę.

Modlili się oboje królestwo na tem właśnie miejscu, gdzie, wedle woli swej wkrótce może spoczywać mieli. Ołtarz św. Władysława grób wyprzedzał...

Łoktek, który dawniej przed swą podróżą do Rzymu mało pobożnym był, a duchownych lekceważył, w ostatnich czasach odmienił się bardzo. Za przykładem żony swej, która się zwała szczęśliwą, gdy na święto jakie do klasztoru zakonnice zjechać mogła do Sądca i z niemi modlić się, do stołu zasiadać, noc spędzać na pół w chórze, wpół na twardej pościeli, Łoktek stał się pobożnym także.

Rzym, a teraz Avinjon popierał go we wszystkim i to właśnie drażniło zakon krzyżacki, że staraniem Łoktka objaśniony papież, surowo gromił rabusiów... *conantes exterminare idioma polonicum* (usiłujący wypłenić mowę (i plemię) polskie) jak się wyrażali współcześni annaliści. Król na pół klęczał, pół siedział obok szaro ubranej z zastoną białą na głowie królowej, modlącej się gorąco, z podniesionemi do góry oczyma załzawionemi. Poorana, opalona twarz jego smutną była, oczy błędziły po kaplicy, po przytomnych, a myśli gdzieś daleko po świecie.

Na mieczu się opierał, zbroję już miał na sobie, a hełm z głowy zdjęty trzymało przy nim stojące pachole.

Mszą biskup Jangrot (Jan Grot) celebrował, poważny w sile wieku człowiek, któregooby za wielkiego w kościele dostojnika nikt nie wziął, gdyby nie oznaki biskupiej godności.

Dziwny traf posadził go na tej stolicy, której on nie pożądał ani się spodziewał. W młodych latach, gdy Jan w Bononji na naukach przebywał, znaleźli się tam razem z synaczkiem ubogiego szewca z Cahors Jakóbem Eudem; i razem z nim czerpali mądrość z jednego źródła, a miłowali się z sobą... Stracili się



potem z oczów i Jan Grot spokojnie siedział na probostwie w Polsce, nie dobijając się dostojenstw, a kościół swój opatrując, gdy wysłani do Awinionu posieroceniu katedry krakowskiej posłowie, (bo Nankiera wzięto do Wrocławia) — zalecający Ottona proboszcza gnieźnieńskiego; spytani zostali przez papieża Jana XXII, czyby jakiego Grota nie znali? co się tam z nim działo i jak mu się wiodło? Syn ubogiego szewca zasiadł teraz na stolicy Piotrowej i przyjaciela młodości przypominał sobie.

Posłowie o Grocie nie wiedzieli nic, lecz papież chciał go mieć na biskupstwie krakowskim i sam z siebie mianował. Ubogi proboszcz musiał tedy nagle, przeciw woli króla Łoktka, przyjąć ciężar biskupiego dostojenstwa. Król mu był zrazu niechętny i przeciwny, lecz się pojednali wprzód. Biskup był człowiekiem spokojnym, cichym, nauką i kościołem zajęty tylko... Pobożność jego i świątobliwość, prostota obyczajów zjednały mu króla i królowę. Nie były to już czasy owe, gdy biskupi krakowscy na pół z książęty rządili krajem; Łoktek nikomu z sobą nie dawał w państwie gospodarzyć, jednakże Jangrota wzywał do rady i mało co bez niego poczynił...

Biskup był powierzchowności tak skromnej jak ducha, lecz znać w nim było mężnego pracownika tej winnicy, której całym oddać się musi człowiek, chcący jej służyć... I na jego twarzy w tej chwili ofiary wielkiej widać było uroczyste przejęcie się modlitwą za króla i za kraj. W ręku starca tego znużonego były przyszłe jego losy. Jeśliby niepodobał Władysław, królestwo za ledwie zlepię, znowu rozpaść się miało i pójść na pastwę obcym...

Dwu królów spierało się o koronę, z których jeden piastował ją, aby pomnażał, drugi wydierał aby rozerwał. Jan Czeski gdyby ją osiągnął, zawczasu się nią dzielił z Krzyżakami.

Modlitwa więc za pomyślność oręża Łoktkowego

była modłami za odrodzoną Polskę, zagrożoną śmiercią nową.

Wszyscy uczuli uroczystość tej chwili... poprzedzającej walkę, na sercach wszystkich brzemieniem już leżała wiadomość o zdradzie wojewody...

Biskup się modlił gorąco.

Msza właśnie dokończyć się miała błogosławieństwem, gdy od progu zaszeleściło coś, zamruczało, ludzie się rozstępywać zaczęli, głowy zwracać, królowa przełknięta drgnęła i w pośród rozstępującego się rycerstwa, jak zwiastunka wesela, jakby anioł prorokujący dni jasne, ukazała się młodzieuchna Hanna...

Wyprawiono ją dla bezpieczeństwa z Poznania, przybywała właśnie niespodzianie, z tą swą wesolą ptaszecą, która jej nieopuszczała nigdy, z uśmiechem różowym, z wejrzeniem promienistym...

Gdy to jasne oblicze zjawilo się wśród posępnego rycerstwa i poważnego mężów orszaku, z niem razem powiało nadzieją... przyszła światłość jakaś na te smutne mroki — twarze posępne uśmiechać się zaczęły. Szła tak śliczna pani, aż do kaplicy progu, z oczyma śmiało w ołtarz wlepionymi — i tu poklekła z dziecinną pobożnością świeżo nawróconej poganki nawykłej tulić się do swych domowych bogów.

Król i królowa z rozrzuwieniem patrzyli na nią, taką swobodną i pełną nadziei czy nieświadomości.

Cała jej postać tętniła młodością oblicza, szaty się do niej składały; płaszcze ze szkarłatu, suknia bogato w kwieciste szyta wzory... Piękny włos trzymała siatka złocista, a zasłona głowy biała, która innym mniszego coś dawała, ją ubierała wdzięcznie, łamiąc się w fałdy tysiączne.

Patrzano na nią, lecz wkrótce oczy od tego obrazka odwróciły się z ciekawością rozbudzoną żywo, spoglądając na poważną, z oczyma od łez zaczerwienionymi niewiastę w płaszczu jedwabnym i czapeczce na głowie.



Szła tuż za królewiczową sama jedna, gdy reszta dworu trochę się dalej zatrzymała.

Ludzie zobaczywszy ją, szeptać coś do siebie zaczęli. Smutno wyglądała jak ofiara, jak cierpiąca okrutnie, a usiłująca boleść stłumić w sobie.

Matrona była, której przystało w ślad iść za królewiczową, i która w prawie się czuła przy niej miejsce zajmować.

Na twarzy Łoktka malowało się zdziwienie i jakby odcień jakiejś radości, za którą wejrzeniem zaraz Bogu podziękował... Biskup stał błogosławiąc powoli podniesioną ręką, tak aby promienie tego krzyża sięgnęły najdalszych pobożnych... Spojrzał na kłęczącą Hannę i ręka jego poruszyła się, jakby umyślnie jeszcze dla tej spóźnionej.

Chór księży z Marcinem Kantorem na czele zanucił pieśń błagalną i poklekli wszyscy... Rycerstwo jej wtórowało...

Wielu z żołnierzy tego dnia przystępowało do komunji, bo kto na wojnę szedł, zbroił się w kościele. Na pobojoisku nie zawsze znaleźli się kapłani...

Naostatek rycerstwo z kościoła wypływać zaczęło, wstała królowa idąc synową uściskać, podniósł się król i razem wszyscy przejściem krytem zmierzili ku dworowi pańskiemu.

Poważna niewiasta, idąca za Hanną, strzymała się chwilę, jakby nie wiedziała, czy ma się pozostać, czy razem z niemi dalej iść, gdy król, po wyjściu z kościoła, zwrócił się ku niej.

— Juźciż oczy mnie nie mylą! — odezwał się — wy tu pani Halko! wy tu? wy?

Głos drżał królowi, niewiasta spuściła oczy, wybuchnęły z nich łzy, zakryła je chustą i żywo poczęła odrywając ją, a zmuszając się do odpowiedzi królowi.

— A! ja tu jestem! ja! miłościwy panie — a moja bytność mówi o nieszczęściu mojem.

Załamala ręce.

Łzy powtórnie zalały jej oczy i odebrały mowę. Król stał, dając się wyprzedzić żonie i synowej, która śmiała się, szczebiotała, podskakiwała, a uroczysta owa chwila nie mogła żywej krwi pohamować. Zdala słychać było głos srebrzysty i śmiech do piosenki podobny...

O kilka kroków od tego wesela dziecinnego, smutna i płacząca stała matrona przybyła z królewiczową i król, któremu jeszcze przytomność jej tutaj była nie wytłumaczoną.

— Rozumiem przybycie wasze — począł Łoktek, napróżno oczekujący, aby płaczu się jej przebrało. — Przybywacie z niecnej potwarzy męża oczyścić!!

Spojrzał na nią, ale ona z małym boleści krzykiem, twarz zanurzyła w chustkach i zdawała boleściwszą jeszcze po królewskim słowie.

Czekał Łoktek, aby łzy otarła. Wzmagający się płacz nauczył go, że przypuszczenie, z którym się odezwał, fałszywym być musiało.

Cóż więc mogła tu robić na dworze jego żona wojewody Wincza, którego obwiniano o zdradę?

Wpadł król na myśl, iż ją chyba jako zakładnika siłą porwano, i tu przywieziono.

— Czy wam zadano gwałt — rzekł — zmuszając jechać do Krakowa?

Halka podniosła oczy spłakane.

— Nie! — odezwała się głosem mocnym, jakby tem przypuszczeniem dotknięta — nie, miłościwy panie, przybyłam tu... bo tam, nie chciałam być świadkiem ani współnicą tego co się dzieje, co się dzieć będzie.

Miłościwy panie! — dodała żywo, chwytając króla za rękę — jeszcze czas może, jeszcze się to nie spełniło. Ślijcie do niego słusznych, poważnych ludzi, niech doń przemówią słowem twem, on się opamiętać może...

Rozżalony jest... a! tak! zabolalo go to, że gdzie długo panem był, sługą mu być kazano. Zawsze niepohamowanym był, gorącym, namiętym. Jam żyła



z nim, znam go... on złym w duszy nie jest, on sam się zagryzie tem. Siebie ratujcie! jego ratujcie, miłościwy panie i ród nasz, aby się nie skaził zdradą!! Ślije do niego... nie poszedł może jeszcze...

Jam uciekła z domu, próżno go błagając i przybyłam tu umyślnie paść do kolan waszych, abyście go ratowali!

Złożyła ręce Halka.

— Jeszcze czas! — poczęła wołać, łkając — czas jeszcze...

Łoktek stał poruszony.

— Chodźcie za mną — rzekł powoli — tu nadto nas ludzi słuca i otacza, pomówiemy...

Szli ku dworowi, król przodem, niewiasty wiodące za sobą.

Łoktek wprowadził ją do izby posłuchalnej, w której nikogo nie było.

Zona wojewody padła mu do nóg obejmując je.

— Miłościwy królu — zaczęła na nowo — on sam płakać i żałować będzie występku swego, jeżeli go popęlni. Jedno dobre wyrzeczone słowo odwrócić może odemnie hańbę, od was nieszczęście...

— Idę sam z wojskiem w tę stronę, odezwał się król, naprzeciw Krzyżakom, a może i swoim własnym. Nie czas słać, spotkamy się — lub w obozie, jeżeli się upamięta, lub na pobojuwisku!

— Ciągniecie tam? — przerwała Halka powstając — tam! Pozwólcie mi za obozem iść waszym. Ja pójdę do niego z posłami waszemi.

Król ręką dał znak przyzwolenia.

— Jedźcie — rzekł — pewnie, że się mnie i temu nieszczęśliwemu przydać możecie, lecz spocznijcie wprzód, ja już w pole muszę.

— Ja nie potrzebuję spoczynku i nie znajdę go nigdzie, dopóki strach ten sromoty gonić za mną będzie...

— Aż do tej chwili — odezwał się Łoktek smutnie — wierzyć nie chciałem. Codzień przychodziły wieści,

odpędzałem je. Wy dopiero tego nieszczęścia przynosicie mi pewność!

To mówiąc skinął ręką i oddalił się.

Czekano na niego.

W podwórzu konie rżały. Ciężko zbrojni z pomocą czeladzi wspinali się na konie. Szczękały oręże, rozlegały się wołania, zbierali się znajomi i do jednych należący pułków, by jechać razem. Dwór królewski doładowywał wozy szybko.

Dalej ku wrotom, do czeladzi i rycerstwa wychodzącego, widać było przybyłe na pożegnanie niewiasty z miasta, z węzłkami, dzbanuszkami, z podarkami na drogę, ocierające łzy.

Szlochanie ich ciche, mieszało się razem ze śmiechami młodszych, ze skomleniem psów i dawaniami hasłami.

Niektórzy zawczasu wyjeżdżali w miasto, jeszcze po drodze zapewne chcąc wstąpić do browaru i napić się piwa...

W komnacie królowej, zarumieniona podróżą, rada że ją dokończyła, siadała, kręciła się, podskakiwała wesoła zawsze Aldona.

Król patrzył na nią i lice mu się rozpogadzało.

— Gdzież Kaźmierz? — pytał — ja nic nie wiem. Niepokój mam o niego śmiertelny...

— Kaźmierz — głosem śpiewnym i przeciągającym poczęła Aldona — o! o niego możecie być bezpieczni! Ma przy sobie Nekandę, a to bardzo stateczny, rozumany i mężny człowiek...

No — i Kaźmierz też mężny jest... boć synem twoim! a gdyby rycerzem nie był, jabym go miłować nie mogła...

Prawda — dodała — mówią na niego że on wojny nie lubi! ale któżby ją lubił, kiedy tyle krwi wylewał! A, dla tego, gdy biec się potrzeba!

Podniosła rączkę białą, ale silną, do góry, jak gdyby miecz w niej miała i rozśmiała się sama z siebie, a potem jak dziecko twarzyczkę zakryła.



I oboje starzy, choć ochoty nie mieli do wesela, rozśmiać się z nią musieli.

— Dokądże Trepka Kaźmierza poprowadził?—rzekł król.

— Al! to wielka, wielka tajemnica, której mnie nawet powiedzieć nie chcieli.

Uśmiechnęła się.

— Kto wie? oni może sami nie byli pewni dokąd pójdą, ale Kaźmierz ma ludzi wybranych, doskonałych i tak zbrojnych jak Krzyżacy... w żelazie od stóp do głów... Oh! ol... Ci się nikomu nie dadzą...

Na zamku w Poznaniu — szczebiotała ciągle, patrząc bystremitami oczyma na króla i królowę — jabym się była chętnie została, choć sama... Nawykłam już do okolicy... w lesie tam... przypominała mi się Litwa i nasze puszcze, tu koło Krakowa takich drzew niema...

No cóż! nie pozwolili mi siedzieć w Poznaniu. Trepka mówił ciągle, że tam pod każdym kamieniem zdrada siedzi... Ja jej tam nie widziałam. Kto ich wie? Mnie się ludzie uśmiechali...

Ruszyła lekko ramionami.

— Tu bezpiecznie—odparł król.

— Tak! tak — smutnie przebaknęła królowa Jadwiga, spoglądając na synową — będziemy razem się modlić...

Wielkiemi oczyma popatrzała Aldona na matkę, nie odpowiedziała nic.

Ta nieustanna modlitwa, do której nie była przywykłą poganka, dziwiła ją i była dla niej niepojętą.

Jej śpiew wesoły stał za modlitwą, a wesołość za służbę Bożą.

Zdawało się biednej, że młodość na to Bóg dał, aby ona się jemu i światu jak kwiatek wdzięcznie uśmiechała...

Posłuszną była matce mężowskiej i duchownym, lecz nie rozumiała modłów i one czyniły ją smutną, gdy tak potrzebowała być wesołą.

Jadwiga badała ją oczyma...

Był moment milczenia...

Wrzawa dochodząca z podwórców, przypominała królowi, że wyruszyć musiał. W tem na myśl mu przysłała żona wojewody, i zapytał synową.

— Jakżeś i gdzie dostała tę towarzyszkę?

— Al! żonę tego niepocziwego zdrajcy—odezwwała się Aldona. — Ta mnie napędziła na drodze, prosząc, błagając abym ją zabrała z sobą. Cóż miałam czynić! Ah! a taka była przez całą podróż smutna, że mi zaśpiewać nie dawała...

Ja tak śpiewać lubię, jam tak do pieśni nawykła, lecz ile razy spojrzałam na jej twarz chmurną, na zapłakane oczy, piosnka mi w ustach zastęgiła.

Biedna kobieta, oczy wypłaczę... Porzuciła męża, a mówi, że go kocha i że go chce ocalić... Jak go ocalić? — dodała krzywiąc się — kiedy wszyscy mówią, że poszedł do tych zbójców Krzyżaków... Kto się ich dotknie... ten się już nie oczyści nigdy... O! Krzyżacy!!

Zrobiła rycerską minkę, ale że śmiech u niej kończył wszystko, sama rozśmiała się z siebie.

Król stał, słuchał, patrzył, bawił go szczebiot ten młody i choć konie rżały, odejść mu się nie chciało...

Królowa tymczasem z opóźnienia korzystając, niosła na jedwabnym sznurku zaszyte relikwie, które mężowi na wyprawę dać chciała.

Gdy się zbliżyła i ukazała je, król pocałował, i natychmiast na szyję zarzucił sznur, tak, aby relikwiarz skrył się pod zbroję.

— Nie zgubcież go! — szepnęła Jadwiga — po-bożni księża nasi zaręczyli mi, że od wszelkiego zba-wia cię niebezpieczeństwa i zwycięstwo zapewnią...

— Zwycięstwo! — westchnął Łoktek — królowo moja, nie śmiem ja marzyć o nim. Jeżeli Jan nad-ciagnie z Czechami, a ten niepoń mi wielkopolan oderwie, nie będę miał z czem stanąć przeciw takiej sile... Po staremu z hoku ich będę zarywał i niepo-



koł, do boju wstępnego nie stanę, rycerstwa mam mało...

— Bóg łaskaw — szepnęła królowa.

Aldonie oczy się zapaliły.

— Wy musicie zwyciężyć! — zawołała — naprzód, że sprawa wasza dobra... a bogowie (tu zarumieniła się mocno i poprawiła natychmiast), Bóg i święci patronowie pomogą. A wy, królu, ojcze, wyście mieli szczęście zawsze i wszyscy mówią, że bijecie się jeszcze jak młody i za dziesięciu starczyście.

Królowa przerwała.

— Właśnie, on bić się nie powinien, tylko patrzeć, dowodzić, rozkazywać, a to jego grzech, że żołnierzem być chce, gdy mu wodzem być potrzeba.

Łoktek nieco się uśmiechnął.

— Tak, tak, babo moja — rzekł żartobliwie — rozumnie mówisz. Ja to wiem! Ale gdy człowiek w pole wyjdzie, nieprzyjaciela zobaczy, konie zarzą, kordy zabrzęczą, a posunie się rycerstwo na nieprzyjaciela, jak tu ustać! jak wytrwać, jak tu miecza nie dobyć i nie pokosztować tej potrawy! Człek gdyby go związano, urwałby się.

Gdy tak mówił twarz mu odmłodziła, drgnął, zdawał się rosnąć maleńki pan — i gorąco popłynęła mu krew stara w żyłach.

— Czas — rzekł — ludzie czekają, niech Bóg błogosławi...

Jadwiga i Aldona przyszły go całować po rękach zegnając, chwilowe rozweselenie zmieniło się znowu w tęsknotę i smutek.

— Król wyrwał się z izby...

— Na koł — zawołał w sieni, gdzie ludzie jego stali — na konie!

Na rozkaz ten królewski, podawany z ust do ust, w podwórzu odezwała się zaraz trąbka, za nią dalej zagrały inne.

Ludzie z proporcami zaczęli się ustawiać na drodze,

szkować, ścisnąć, kobiety i czeladź prędko z tłumu uchodzić zaczęła ku wałom i murom...

— Król! król! — odzywali się jedni drugim oznajmując...

Dwie niewiasty, dwór cały zajmował przedsienie, księża stojąc błogosławili krzyżami, po chwili ozwała się pieśń pobożna i zagłuszyła wszystko.

Ja teraz jedną słyszeć było.

Bogu rodzica, dziewica,  
Bogiem sławiona Marya,  
U twego syna gospod'na  
Matko zwolena Marya,  
Ziścij nam, spust winam...  
Kirje elejson!...

I pochod uświęcony tą pieśnią odwieczną stał się jakby uroczystością kościelną, jakby wielką processją pobożnych. Wszystkie oblicza spoważniały, znikły uśmiechy, lecz razem znikła troska wszelka o przyszłość. Szli z modlitwą, więc z Bogiem. Bóg siedł z niemi.

Tem gorętsze były modły, że oręż wymierzonym był przeciw Krzyżowi, przeciw tym, co się Maryi sługami zwali. I w wielu sercach rodziła się wątpliwość.

Zwolna tak pułki wyciągały z zamku, żegnane chust wiewaniem, czapkami, cichemi głosy.

Na Wawelu bito w dzwony.

Król jechał otoczony przez wojowników swych, a siwy włos rozwiewał mu powiew wiatru, jechał i usta mu także poruszała modlitwa, a czy szukały żony płaczące i synowej, której smutek do tak dziecinnej nie przystawał twarzy.

Za rycerstwem, za ciurami, za czeladzią i wozami jechała na wysłanym wozie, czterema końmi zaprzężonym, otoczona swą służbą, czarno odziana, jak żałobą, zakwefiona żona wojewody, ze spuszczoną gło-



wą, z różańcem w ręku, jechała jakby wieziona na stracenie za męża winy, jak pokutnica, jak ofiara... I zasłaniała oczy, aby jej nie widzieli i nie poznawali ludzie, a nie piętnowali straszny, ognistym znakiem — zdrajcy żona.

Na ulice Krakowa, przez które ciągnąć mieli, wyszedł lud aby zobaczyć i pożegnać króla.

Około ratusza stał burmistrz pan Mikołaj Wirsing z pany radnemi Wigandem z Lupsicz, Mikołajem Rusinem, Mikołaj z Sądca, Heynuszem z Nisy, a przy nich wójt Staszko i ławnicy.

Do przejeżdżającego króla z odkrytą głową zbliżył się burmistrz, uśmiechem go pozdrawiając serdecznym, na który król też dobrem słowem odpowiedział.

Teraz już między miastem a królem zgoda była i miłość, a obawy o zdradę nie miano.

Z ramienia pańskiego wysadzona była starszyzna i nie gospodarzył tu wójt dziedziczny, ale wierny królewski sługa.

Rycerstwo się do mieszczan uśmiechało, z okien słano im pożegnania.

— Wracajcie zdrowi a w dobrą godzinę!

— Bywajcie zdrowi!!

I dzwony biły u P. Maryi, po kościołach, po klasztorach.

A potem, gdy wszystko to, ludzie, ciury i wozy wyciągnęły w pole, stało się cicho i smutno. Ostatni dźwięk przebrzmiał... Ludzie patrzyli, choć już nie widać nie było i myśleli — z czem oni powrócą?

Stary król, co walczył pół wieku prostym żołnierzem, szedł może na ostatnią swą wojnę...

Nie posłał wojewodów za siebie, ciągnął sam jak był nawykł, niosąc na posługę ludziom dłoń swoją, krew swą i wielkie swe serce.

## II.

Trzeciego dnia po wyjściu z Krakowa, wieczorem kładło się wojsko obozem pod wsią Wronne, u skraju lasu, nad rzeczka...

Miejsce było dogodne, dla króla na nocleg stała pod kościołem plebanja; w wiosce coś nie coś dostać było można, a las dostarczał drzewa do ognisk i na szałas...

Ludzie powolnym pochodem byli znużeni i warczeli.

— Co tu noga za nogą się podkradać — wołał Łęczycanin Sukosz zasiadając przy ogniu — wprost iść na tych zbójów, zewrzeć się z niemi i albo zgiąć albo zgnieść.

— Ale! — odparł Wilczek z Turowa z siwym wąsem, człek wystaly i doświadczony — ale! krew masz gorącą i chce ci się co rychlej do żonki powracać, a wojna ma prawa swoje.

— Nasz król — odparł Sukosz — nigdy nie zwykł był chodzić jak teraz... Ostrożności do zbytku, tak jak byśmy się ich bali.

— Nasz król — mówił powoli Wilczek, który tymczasem sobie pokrajane w sztuczki mięso na drewnianych rożenkach u ognia przypiekał — nasz król dawniej mawiał, jam sam słyszał, że walnej bitwy wydawać nieprzyjacielowi, wszystko na jedną kość rzucając, nie godzi się, gdy wojsko nie ma przemagającej siły. Trzeba gonić za wrogiem, zasadzać się i urywać po kawale, póki się pogodnej chwili za gardło nie porwie i nie zdusi, tak wojował Krzywousty...

— A no! — krzyknął niecierpliwy Łęczycanin — tymczasem bestja Krzyżak pali siola i miasta, kościoły i klasztory i ludzi wyrzyna... Ot, co!!



— Pomścimy to — rzekł Wilczek — pomścimy...  
Do ogniska drudzy się zwlekać zaczęli. Wszyscy byli posepni. Powolny pochód nie smakował im.

— Nie ma języka od granicy? — spytał Sukosz.

— Musi być, bo ciągle ludziska jakieś przyjeżdżają — rzekł przybyły Pakosz z Góry — ale im gębę zamalowują; że z żadnego nie nie dopytać. Myny nie gęste, król smutny... Kto wie co się tam dzieje...

— Wszystko złe przez tego zdrajcę — zakrzyczał Sukosz — król go wykarmił, wychuchał, tłusty poleć smarował, i ot, co zyskał. Z tych wielkich panów zawsze korzystać taka...

Król przecie pamiętać musi, gdy powrócił z Rzymu, a chciał swoje ziemie odzyskiwać, kim naówczas się posługiwał? My biedaki szliśmy z nim, no i kmiecie a chłopcy. Dopiero gdy się wzmógł przyszli panowie do niego.

— Ej! Sukosz — przerwał śmiejąc się Wilczek — jak to na tobie widać, że ty masz możnego sąsiada który cię dusi.

Sukosz zamilkł.

Nadechodzili jedni, drudzy od ogniska szli... Spragniony po podróży lud szukał innego napoju nad wodę co była w strumieniu, którego już konie piły — a piwa byłoomal...

— Jak da Bóg wojna się skończy — dokończył po chwili Sukosz, choćby król wojewodzie przebaczył... ubiję tego złoceńcę... Gdyby nie on z Krzyżakami byśmy się rozprawili.

— A o Czechu to zapomniałeś? — wtrącił inny. — Na niego czekają i gorzej go się król obawia niż Wielkopolan...

— Ja myślę — dodał — jakby oni Nałęcz czy jakie tam djabły, ukazały się przeciwko nam, a huknęlibyśmy do siebie, gdyby dziesięciu wojewodów ich wiodło, bić się przeciwko królowi nie będą.

Nie wszyscy w to podobno wierzyli, bo się nikt z potwierdzeniem nie odezwał.

— Co to za babę na wozie wiozą za wojskiem? — zapytał Sukosz. — Cztery konie w wozie, ludzie dostatnio odziani, co to za kobieta? Podglądałem jadąc, myślałem, że choć młoda, jaka Abizail królewska, ale gdzie tam! stare babsko... I nie wiadomo kto to jest.

— A nie wiadomo — rzekł Wilczek. — I mnie ciekawość brała dowiedzieć się, ludzi badałem... Woźnica mi rzekł — Baba... i tyle, jeden ze sług odparł — Pani. — Jak się zowie? Na to on. — Albo ja wiem. — A z kądeście? Ze wsi! — A z jakiej? — Nazwiska zapomniałem...

Po cóż się tają?

— Chyba król czarownicę wiezie — zawołał przybyły Wężyk — aby uroki Krzyżackie odganiała.

— Kto ona jest nie wiem i ja — poczał Darosz z Suchej Wierzby — alem za wozem jej jechał długo i to wiem, że całą drogę płacze... Nikt jej nie zna, do nikogo nie mówi słowa...

Ruszyli drudzy ramionami.

Od plebanji, w której król gościł, nadjechał Zemiega ziemianin, który przy wojewodzie jakiś urząd sprawiał. Zwrócili się ku niemu wszyscy, bo wesół był i gadatliwy.

— Co słyhać tam między głowami? — pytał Sukosz, który z rozpaczny na kobierczyku się przy ogniu wyciągnął.

— Dobrze słyhać! — zaśmiał się Zemiega — król posyłał na gościniec którądy Czechy miały ciągnąć. Ani słychu ich... Jeszcze się nie wybrali.

— To po cóż czekać! — krzyknął Sukosz — wprost na zbójów, póki im posiłki nie nadciągną.

Zemiega zląkszy z konia siadł przy ogniu w kuczki, hełm zdjął i za piwem, którego nie było oglądał się.

— Tobie Sukosz — rzekł — byle prędzej choćby i zginać, a my ochoty do tego nie mamy.

Z Krzyżakami choćby sami byli, sprawa nie łatwa... Nadciągnęły im Niemcy z nad Renu i licha wie z kąd, mówią, że z za morza... Psiarstwo to słyseż ma



jakieś kusze żelazne zbójeckie, niewidome, które im ich czarnoksiężnicy wymyślili. Mówią, iż z chukiem wielkim jak grzmot rzucają takie kamienie z nich, że od razu kilkudziesięciu ludzi, z daleka rzucone ubijają...

— Tfu! — odparł Sukosz — babskie plotki, puścili je aby głupim strachu napędzić.

— Nie bajki to są, nie — rzekł Zemięga — mają ten jakiś ogień piekielny...

— Ogień juści i dawniej rzucać ludzie umieli, zagadał Węzyk. — Nie wielka rzecz z kuszy puścić belt smołą obłany i zażegnany... Nie nowego.

— Co ty mi mówisz — ofuknął go Zemięga — ja ci powiadam com z pewnych ust słyszał, że na Malborgu i w Toruniu mają takie żelazne rury, z których na raz ogień bucha.

Wszyscy zamilkli.

— Nie wierzę aż zobaczę — zawołał Sukosz — nie wierzę. Cóż to tym złoczyńcom miałby pan Bóg dawać taką siłę!

— Jaki pan Bóg! — sprzeciwił się Węzyk — chyba Luceyper. Albo to nie wiecie, że Krzyżacy tylko udają iż Chrystusa czczą, a mają swojego boga mosiężnego, głowę, której się kłaniają i kózła, przed którym się modlą, ale nie do głowy, tylko do ogona.

Niektórzy się śmiać zaczęli.

Zemięga dodał, iż byli ludzie co rzucanie ognia piekielnego widzieli i huk słyszeli i opowiadali: że kule kamienne, których dwu ludzi podźwignąć nie mogło, czart ten wyrzucał.

— Cóżby to była za wojna! — zawołał Sukosz — coby już człowiek i rycerz był wart w niej, gdyby go tak zdala bezbronnego można zgnieść?

— A no, kiedy tak jest! — westchnął Zemięga.

— Plotą, aby nas straszili — zamknął Wilczek — nie ma o czem gadać...

Rozprawiano tak około ognia, i zdania się różne z sobą spierały.

W drugiej stronie obozu, po za wozami; w których królewskie szaty, zbroje i zapasy prowadzono, nieco odsunięty od innych stał ów czterokątny zaprząg, który wiozł nieznajomą płaczącą niewiastę. Była nią żona wojewody Wincza.

Na samą wieść o zdradzie jego, która się coraz bardziej szerzyła, powstała w wojsku i starszyźnie taka niechęć, taka nienawiść przeciw zdrajcy, iż imienia jego wymówić nie było można. Biedna niewiasta słyszała omdlewając jak go przeklinano, odgrążano się nań i zemstę mu zapowiadano. Musiała więc tać nazwisko swe, bo z niem życia nie była pewną. Zakazała ludziom wyjawiać je... sama zaś trzymała się na uhocz, od wszystkich, milcząca...

Tych, którzy zagadywali do niej, zbywała milczeniem i łzami.

A że zawsze u nas wielkie było niewiast poszanie i cześć dla łez, nie naprzykrzał się jej nikt... Litowano się domyślając nieszczęścia, które ją dotknęło.

Trafiło się tego wieczora, iż wozy królewskie a z niemi i wojewodzinej, najbliżej były Sieradzian między którymi Florjan Szary się znajdował.

Od wyjazdu z domu, żonę pozostawiwszy na obcych opiece, świeżo po przestachu takim, chodził jak noc smutny. Słowa z niego nikt nie dobył.

Musieli mu znajomi dać pokój, aźby, jak powiadali, wysapał się i odszedł.

Na pamięci mu stała jego biedna Domna, taka, jaka go z młodszą na rękę dzieciną żegnała w progu. Więc każda biedna płacząca niewiasta, to na nim czyniła wrażenie, że ją przypominała.

Coraz to ku temu wozowi spoglądał a litował się nad płaczącą.

Nie zaczepiał jej jednak i nie nastroczał się, bo go drudzy już ostrzegali, że z nikim mówić nie chciała i ludzie jej, imienia nie wyjawiali nikomu.



Głowy sobie bardzo nie łamał, kto była, ciekawości nie miał zbytniej, litość czuł tylko wielką.

Przy wozach z rycerstwa dla opieki nie było nikogo, same ciury i czeladź. Nie spuszczał z niej oka Florjan.

Pod noc już ludzie wojewodzinej, dawniej do ulegania nie nawykli, zuchwali dosyć, poważnili się u wodopoju z królewskimi. Od słowa do słowa zaczęli się zaczęli, kamieniami ciskać, aż do kijów porwali. Parę razy pociski padły blisko pani Halki która przerażona krzyknęła.

Wnet Szary pobiegł w pomoc i z powagą swą rycerską, pomiędzy to tałajstwo wpadłszy, pogromił je i rozpedził.

Zbliżył się potem do wozu, dobrem słowem chcąc pocieszyć kobietę, która mu dziękowała.

— Nie obawiajcie się — rzekł — ja tu z mojami ludźmi niedaloko leżę, i jakby potrzeba było gotów jestem zawsze.

Spię czutko...

Miał też sobie za obowiązek dać się poznać niewieście, i rzekł:

Sieradzianin jestem, Florjan Szary się zowie, z Surdegi... Nie pytam miłości waszej o nazwisko, bom słyszał, że go mówić nie chcecie...

— Z Surdegi? — odezwała się nieco zasłony podnosząc żona wojewody. — Wszak ci to Leliwianka Domna pono wasza?

— A tak! — rzekł ochoczo Florjan, zdziwiony, że o jego żonie wiedziała. — Pocziwie moje żonisko musiałem porzucić ze starym ojcem w domu. Ale jakże to wy o niej wiedzieć możecie?

Jakiś czas pomilczała zagadnięta, aż po chwili rzekła cicho.

— Juściż rodzina o sobie musi wiedzieć, a Leliwi... moi powinowaci. Słyszałam o nich...

Florjan nie śmiał dopytywać więcej, ale się u wozu zatrzymał.

— Kiedy tak — rzekł — a my z sobą choć jakimś

węzłem blizcy, nie omieszkajcież mi sobie kazać służyć. To powinność! Bóg widzi — dodał — nie ciekawym, gdy się być nie godzi, ale jakaż bieda mogła was zmusić, tak się wlec za obozem? To utrapiona rzecz...

— Prawda! rzekliście! — odezwała się Halka — bieda i wielka nad miarę zmusiła mnie jechać za obozem. Jestem bardzo nieszczęśliwa!

Westchnęła ciężko i płakać zaczęła.

Florjan czuł litość coraz większą i nie chciał się już oddalać, choć pytać nie śmiał.

Popatrzywszy nań, obejrawszy się do koła trwożliwie, pani Halka lży poczęła ocierać.

Przypominała sobie teraz, iż tę twarz Florjanową kędyś już widziała. W istocie, gdy wojewoda był w Pomorzanach na rozmowie z Szarym, ona podszedłszy ku drzwiom, przybyłemu się przypatrywała posłowi, lękając, czy nie był od Krzyżaków wyprawiony.

Teraz dopiero fizjognomia ta wyrazista przypominała się jej. Nie była jednak pewną.

Sama Leliwianka z domu, choć dalsza krewna tamtych Leliwów, do męża Domny czuła większą ufność niż do innych...

Pochyliła się więc ku niemu i spytała go po cicho.

— Nigdyście nie bywali w Pomorzanach, w Wielko Polsce.

— Jako? — odparł Florjan zdumiony. — Niedawno temu do wojewody mnie posyłano...

Spojrzała nań długo biedna kobieta i pochwyciła za rękę.

— Domyślcież się ktom ja! — rzekła. — Ja nieszczęśliwa żona jego jestem... Winceza z Pomorzan!!

Tu lży ją zdusiły znowu.

— Przybyłam do Krakowa z Hanną królewicówną — mówiła — prosić króla, aby słał do mojego męża ludzi słusznych, aby mu z serca wyrwali... tę myśl piekielną.



— O Boże mój — on zdrajcą przeciw panu — on zdrajcą przeciw ziemi swej, on z Krzyżaki on z nieprzyjaciół!!

Florjan politowaniem zdjęty, stał, nie śmiejąc się odzywać.

— Nie rozpaczajcie miłość wasza — rzekł po namyśle. — Jeszcze się to odmienić może... A cóż tu radzić? co?

— Ja go znam najlepiej — mówiła niewiasta łkając — on nie wytrwa w złem, sam sobą się brzydzić będzie. Żli ludzie go poduszczyli, dobrem słowem by to odwrócić można...

Król, gdyby chciał...

— Cóż król? — zapytał Florjan.

— Milezał — nie odpowiedział mi tak, jak nic...

— Pocieszenie się — zamruczał Szary — może czem jeszcze odwrócić od was to nieszczęście będzie można...

To rzekłszy i miarkując, że dłuższa rozmowa więcej ją rozżaliła tylko, Florjan po cichu coś rzekłszy, odszedł do swych ludzi, przypominając, aby w razie potrzeby do niego się udała.

Jeszcze się był od wozu nie oddalił nad kilka kroków, gdy od plebanji jakby co gromadami rozłożonemi w polu poruszyło...

Ruch się wszczął jakiś niespokojny, ludzie biegać zaczęli, kupkami się zbierać, ciśnąć, rozprowadzać, krzyczeć, konni biegali po obozie.

Popłoch jakiś poruszył wszystkich. Ci co leżeli, wstawali i szli się dowiadywać.

W powietrzu latały przekleństwa i odgróзки.

Ponieważ nie bardzo jeszcze ciemno było, a na wzgórzu przy plebanji smolnych parę beczek zapalono dla króla, Florjan dostrzegł, że kilku jezdnych, których konie trzymała czeladź, świeżo do dworku przybyło.

Siadł więc na koń, czeladzi rozkazawszy aby się nie ruszała, polecił wprost na plebanję, by u źródła dostać języka i dowiedzieć się prawdy.

Chociaż po drodze dochodziły go różne wołania i imiona, nie zatrzymywał się aż u drzwi księzego domu.

Szczęściem trafił w progu na Hebde.

— Na Boga, panie wojewodo — zawołał — co to jest, nowe nieszczęście jakieś?

— Niel nie nowe — krzyknął z gniewem wielkim Hebda. — Dawnośmy się go spodziewali, a teraz się tylko spełniło, w co żaden pocciwy człowiek wierzyć nie chciał.

Wojewoda z Nałęczami poszedł do Krzyżaków, a oni z nim już wpadli i palą, a rzną i niszczą...

Odparto ich słysząc od Inowrocławia z niemałym trudem, ale Słupcę wzięli i spalili... i żywej nie puścili duszy.

Królewicz nasz z Nekandą w Pyzdrach był, goździli na to, aby go porwać, szczęściem w porę ostrzeżony, uszedł z życiem i daży ku nam.

Z Pyzdr też kupa popiołu!!

Gdy to mówili, ziemianin odarty, z suknią na pierśsiach nagich poszarpaną, z twarzą palającą, rozognioną, na pół oszalałą, nieprzytomny wyszedł z izby od króla.

Wyproszono go ztamtąd, aby Łoktka więcej nie rozżalał i serca mu nie psuł, lecz ust mu zamknąć nikt nie umiał, mówił a raczej ryczał z boleści, szarpiąc na sobie odzież, na głowie włosy, ręce na pół obnażone podnosząc do góry i załamując nad czaszką... Stał w progu jęcząc i wyrzekając...

— Gdzie przeszli tam po nich ino popieliska i trupy...

Nie szcędzili nikogo, dzieci, starców, księży po kościołach, kościołach... Ludzi co do nich uciekali u ołtarza z szat do naga odarłszy, rzezali... urągając się. W Słupcy ksiądz sakramentem w rękę trzymanym się nie obronił...

Piekło na ziemi? Gdzie Bóg? Krzyże na płaszcach, a to szatany wielone...



Łaska Boża, iż królewicza nie schwycili, nie darowaliby i jemu...

Wojewoda nasz był z niemil Boże miłosierny...

Padł na progu, rękami zakrył twarz i powtarzał ciągle.

— Gdzie Bóg? gdzie Bóg?

Wikary się młody zbliżył do niego i strofować go począł za bluźnierstwo, ale starzec spojrzał nań groźnie.

— Dobrze ci mówić! boś ty na to nie patrzył... bo ci jak mnie żony i dzieci nie zabito, boś nad trupami krwawymi lzy nie płakał... A chorągiew ich z krzyżem! Gdzież Bóg?

Szalał biedny...

Słyszając wrzawę w sieni wyszedł sam król, blady, twarz jak marmurowa. Widać było, że drżał wewnątrz, ale zdawał się nieporuszony, oczy tylko błyskały.

— Cicho! — zawołał — cicho... Poleje się krew za krew... Bóg cierpliwy ale mściwy...

— Natychmiastby iść na nich, póki się niespodziewają — zawołał gorączkowo z za króla Żegota z Morawicy — iść i tłuc.

Król się odwrócił z surową twarzą...

— Jedźcie mi po obozie — niech się ludzie uspokoją i żeby mi żadnego wołania a wrzawy nie było. Jam tu wódz!

Nikt rozkazywać, nikt się niczego domagać nie ma prawa. W obozie zatrąbić na spoczynek.

Skinął ręką. — Cicho! ni słowa!

I z wielkiem podziwieniem słuchających król z naciśniętym silnym, głośno — dokończył:

— Jutro — cały dzień spoczynku, tu... nie ruszymy się.

Wszyscy do koła zamruczeli i poruszyli się, Łoktek spoglądał surowo i brwi ścigał.

— Ład żeby mi był... a kto mi się rwać będzie i krzyczeć, do mnie na sąd...

Trąbić na spoczynek.

Zwolna zaczęli się niektórzy poruszać, a wojewoda posłał z rozkazami do obozu.

Król wolnym krokiem do izby powrócił i zamknął drzwi za sobą.

Szanowano tak wolę surowego pana, iż na skinienie jego i wysłane w imieniu króla nakazy, obóz natychmiast zaczął się uciszać. Starsi biegli zmuszając do milczenia.

Gdy Florjan do wozów powrócił, zamierzając wдове nowego zmartwienia oszczędzić i zamilczeć przed nią, znalazł ją już uwiadomioną i leżącą na wozie bez przytomności.

Sługa jadąca z nią cucila i odeierała omdlałą.

Zadna pociecha nie była w porę, stanął około wozu, popatrzył chwilę i usunął się po cichu.

Przez całą noc jęki niewieście go dochodziły.

W obozie mało kto zasnął tej nocy. Pozornie panowała cisza i spokój, bo królewskie słowo miało siłę potężną, lecz niepokój w umysłach był straszny...

Co niecierpliwi o rychłą pomstę wołali. Tymczasem nazajutrz kazano im stać w miejscu, potem pół dnia zwijano obóz, zamiast wprost ku granicom i zagrożonemu krajowi, Łoktek dał rozkaz wojsku i usunął się z niem w lasy na prawo...

Widziano go na koniu jadącego, z twarzą kamienią, z wejrzeniem osłupiałem, lecz wodzowie widzieli, co się kryło pod tym chłodem i martwością, nikt nie śmiał doń przemówić.

Mówił mało... — krótkimi słowy, odpowiedzi nie słuchał...

Zdawał się nawet nie widzieć i nie poznawać najbliższych...

Wieczorem kilka skarg było do wojskowych sędziów, król najsurowiej karać kazał...

Tydzień leżał obóz w lasach, i posły tylko biegały języka dostając...

A kto z językiem powrócił pod karą główną słowa się nie ważył mówić po obozie.



Wojsko nie wiedziało nic, a niecierpliwość w nim wrzała okrutna...

Już z nowego obozowiska ruszać mieli nad ranem, gdy na granicy od lasu orszak się ukazał... Straże zaraz zatrąbiły na gwałt, ale im umilknąć kazano. W sto może koni i zbroi jechał ktoś wprost do namiotu królewskiego.

Łoktek pieszo jak stał wyszedł naprzeciw. Helmu ni czapki nie wziął. Kosmyki włosów siwych wiatr mu rozwiewał... szedł z podniesioną głową...

Spostrzegłszy go, z konia zeskoczył rażno młodzian. Był to królewicz, a za nim tuż jechał Trepka.

Kaźmierz pięknym był i miał prawdziwie Królewską postawę, Królewski strój i uzbrojenie, jakby nie na wojnę, a na gody się wybrał.

I on i dwór jego różnił się od ojcowskiego jakby do innego należał świata. Coś młodego, świeżego, bujniej rozkwitłego wiało od tych błyszczących rycerzy z pióropuszcami, ze świecidłami, i dziwnymi na hełmach postaciami... Łoktkowi przy nich ciężko, czarno, opuszczono, grubo, wydawali się i niemal barbarzyńsko...

Kaźmierzów orszak lżejszym był i zwrotniejszym... lecz widać było, że próby boju nie przeżył.

Zbliżywszy się do syna Łoktek ręce wyciągnął i gdy ten mu się do kolan chylił, zarzucił ją na szyję jego, począł całować w czoło... Niemógł mówić.

Spojrzał z wdzięcznością na Trepkę i skinął tylko mu, jakby mówił, Bóg ci zapłać...

Zwolna kamienna twarz wypogadzać się zaczęła, piersi poruszać, jakby odblask krwi ożywił mu policzki...

Szli razem do namiotu i w nim znikli...

Zamaszysto, rażni królewiczowscy ludzie poczęli zsiadać i rozgaszczać się...

W obozie domyślano się teraz, dlaczego stali tu tydzień—czekali na królewicza...

Gdy Łoktek do namiotu z synem wszedł, Trepka

pozostał około opłotków. Tu go otoczyli wojewodowie, chorążowie, pułkownicy, nalegając i dopytując, co się działo.

Nekanda powtarzał im to z czem wpródy przybył ziemianin, że od Brześcia i Inowrocławia udało się pierwszy zamach odeprzeć, że Słupcę i Pyzdry a okolicę Krzyżacy puścili z dymem.

— Na godzinę przed przybyciem ich pod Pyzdry, dano mi znać — mówił Nekanda. — Gdybym sam był, broniłbym ich, alem tą drogą krew królewską ocalić musiał.

Uszliśmy szczęśliwie, ścigani co chwila w obawie, że nas dognają — Bóg miłosierny...

— A Krzyżacy? — pytał Hebda.

— To była tylko próbka — rzekł Nekanda — wrócili do Torunia, bo król Jan się im opóźnił... Tylko co ich znowu nie widać. Niepocziwy Wincez z niemii!

W tem uchylił król namiotu ściankę i zawołał.

— Nekanda.

Ten wszedł, królewicz stał przed ojcem z twarzą posępną i zafrasowaną... Łoktek miał ten wyraz oblicza, jaki przybierał, wydając rozkazy.

— Dziś jeszcze przepędzicie ze mną dzień do wieczora—odezwał się—rozumiesz. Jutro musicie z nim—wskazał na Kaźmierza — na miejsce bezpieczne.

— Ojciec—odezwał się Kaźmierz — srom dla mnie! nie godzi się to... zlituj się.

— Milez gdy rozkazuję — rzekł Łoktek — wiem co czynię. Miałbym ja dwu takich jak ty, nieszczęśliwym ciebie. Jeden jesteś, a na twoją głowę korona czeka... Milez i słuchaj...

Korona pójdzie w sztuki, gdy zabraknie głowy...

Zwrócił się do Nekandy...

— Szukaj z nim bezpiecznego miejsca i najbezpieczniejszego zamku, ja ci go oddaję, musisz mi całym powrócić.

Trepka skłonił głowę.



— Bić się — dodał król — toby była zabawka... rozkosz — musisz cierpieć i słuchać, ja się będę bił, mnie nie szkoda, jam stary, ze mnie już gałęz nie wytryśnie nowa...

Każmierz ręce skrzyżował na piersiach, jak gdyby jeszcze króla chciał błagać, lecz Łoktek nie patrzył nań, radził z Nekandą, odżył widocznie po przybyciu syna, wstąpiła weń nadzieja.

Niemówił co począć ma, bo z tego nigdy się nie był zwykł przed nikim spowiadać — pytał tylko... Nie wspomniał o Winczu...

Gdy Trepka napomknął o nim, spojrział król i zawarł usta...

Ciemno było w namiocie, lecz mogło się zdawać, iż coś się w oczach starego zaszklilo...

Po długim opowiadaniu o zniszczeniu, które Krzyżacy zrzadzili, Łoktek nagle zwrócił się do Nekandy.

— Och! jeden Wincz... — rzekł — on, jeden... zemsta... niecny człek... wąż, wąż, ale całą Wielkopolską z nim przeciw mnie?...

Wlepił w niego oczy.

— Miłosierny panie — pośpieszył z odpowiedzią Trepka — niech Bóg uchwali od takiej potwarzy. Nałęcz z nim i to nie wszyscy, Dobek mu wypowiedział posłuszeństwo... Inni idą pod grozą, aby im majętności nie palono, spodziewając się je ocalić... reszta płacze i narzeka na zdrajcę...

Niech się szala przechyli na stronę naszą, odbiegna go wszyscy...

— Daj Bóg! — rzekł król krótko i uśmiechnął się do syna...

— Nie tęsknij — dodał — przyjdzie i na ciebie czas do boju... U nas miecza do pochew schować nie można... i długo jeszcze pozostanie tak.

— A dopóki pokoju mieć nie będziemy — westchnął króliewicz — póty kraj stać będzie w lepiankach i gruzach, i wieśniak mrzeć z głodu i miasta drzeć ze strachu o handle swoje...

— Tak dziecko moje — gorzko uśmiechnął się król — i dla tego ja wojuję życie całe, abyś ty ten pokój odzierał po mnie, dali Bóg, że go nam Stolica Apostolska z tym narodem bezbożnych mnichów wyzyszcze...

Mnie już do ostatka trzeba krew lać... a ty żniwo zbierzesz po niej.

Uściśkał go...

— Jedźcie gdzie za zamek bezpieczny, w głąb... daleko, gdzieby ani Jan was nie dostał, ni Krzyżacy, ja błaznić będę i kryć się po lasach, aż mi Bóg powie i da do serca. Teraz czas!... O! gdy przyjdzie godzina, pomstę uczynię okrutną, jak psów będę dławił, jak zbrodniarzy ścinał i tak nie przebaczę nikomu, jak oni nie przepuścili niewinnym dzieciom moim.

Zamilkł nagle...

— Amen — dokończył Trepka skłaniając głowę.

### III.

Na jesiennem niebie chmurnem gorzała luna ogromna, gorzała już dzień drugi, noc drugą. We dnie na czarnej chmurze paliła się krew, w nocy na krwawym obłoku czerniały dymy. I nie było słyhać nic, bo tam gdzie przeszła pożoga ta straszna, nie zostało ludzi, gorzały poodzierane trupy... Obóz krzyżacki leżał pomiędzy Łęczycą spaloną, wsiami, które Krzyżacy zrównali z ziemią a Kaliszem. Ogromne to wojsko niemców, którego jedno skrzydło składały pułki wojewody polskiego, rozłożyło się w dolinie szeroko.

Czerwony namiot wielki, po nad którym biała z krzyżem czarnym i orłem cesarstwa powiewała cho-



ragiew, zajmował środek obozu. Tu z gośćmi swemi odpoczywał Marszałek Teodoryk z Altenburga. Obok niego Otto z Luterbergu i komturowie Elbląski, Pomorski—Toruński gospodarzyli, przyjmując sprzymierzeńców i gości. Kilku grafów z nad Renu, jeden Anglik, posiłki Inflantkie, w osobie swych wodzów, zasiadali do wesołej uczty, której luna przyświecała zdala.

Wesołość w obozie dochodziła do szału, nie tylko pod czerwonym namiotem brzęczały puhary. Śpiewki i szczęki odzywały się z szałasów i od ognisk do koła.

Przy jednym z nich kilka obnażonych kobiet, powiązanych sznurami leżało na ziemi...

W czarnych płaszczach rycerze chodzili do koła, potracając je nogami... Jeden z nich końcem miecza kłuł ciało, które z bólu czucie straciło.

Opowiadano sobie, jak w Łęczycy obnażone niewiasty ścinano razem z księżmi.

Śmiech tych ludzi podobnym był do zwierząt ryku.

Z innych miejsc nagle wybuchały podobne krzyki wesołe, pastwiono się tam nad jeńcami. Około wozów służba rozkładała łupy... a między niemi leżały ornaty kościelne, kielichy i kobiece suknie i klejnoty. A nad tem wszystkiem krzyż powiewał.

Zakonnicy nagradzali sobie za długie w zamkach zaryglowanie. Tu wszystko im wolno było.

Pod namiotem czerwonym, siedzący i nawpół leżący, krzyczeli głośno... Osobliwie starszyzna krzyżacka, płaszcze białe zmagaly się na zabawienie gości.

Grafowie z nad Renu słuchali, Teodoryk z Altenburga, wódz najwyższy, wyniosła postać na silnych nogach z ogromnemi stopy płaskimi, głową przechodzący większą część swych współbiesiadników, stał jeden z twarzą spokojną człowieka trzeźwego między upojonemi. Patrzył, przysłuchiwał się, brwi ściągał.

Przechodzącego komtura z Elbląga, zapytał po cichu.

— Gdzież ten Polak?

— Musiał pójść złość pod swym namiotem wydychać — odparł uśmiechając się, mały a krępy, rudobrody komtur.

Brwi Marszałka ściągnęły się.

— Nadto bo mu dojadacie — rzekł — takiego pomocnika szanować potrzeba. Lepszego przewodnika trudno by dostać.

Komtur się skrzywił.

— Dumi jego znieść trudno — rzekł — razi ona wszystkich. Bądź co bądź, jestto zdrajca... Zdrada pożądana, ale zdrajcy obrzydliwi..

— Znosić go jednak musimy — odparł Marszałek i po małym przestanku dodał — do czasu...

— A nawet bardzo niedługiego — odparł komtur. — Szkodliwym nam już być nie może. Spalił mosty za sobą. Głupi człek zresztą, bo się oddał w ręce nasze na łaskę i niełaskę.

— O! nie — rzekł uśmiechając się marszałek — próbował z mistrzem wchodzić w jakieś układy. Stał się na stopie sprzymierzeńca... Stary nasz zbyt go jak należało, nie nie przyrzekłszy.

Komtur poruszył ramionami i rudą potarł brodę.

— Nie przycinajcie mu gdy siada z nami — odezwał się Teodoryk.

— Ja nań nawet nie patrzę.. — odparł ze wzgardą komtur.

— Ale też i lekeeważenia mu takiego okazywać nie wypada...

Komtur przerwał ze śmiechem własnemi słowy Teodoryka.

— Do czasu!

— No — do czasu! zapewne — powtórzył marszałek — ale przed czasem złości mu burzyć nie należy.

Graf von Rheden, jeden z gości, stojący blisko i słyszący rozmowę, dorzucił.

— Proszę was, przeznacny panie, u stołu mnie przy



nim nie sadzajcie, wszystko mi się kwaśne wydaje od jego twarzą...

— Trudno wymagać, by wesółym był — odezwał się marszałek — już cię pałamy z nim razem, czy on z nami, wioski jego braci i plemienia.

— Gdy z nami idzie, wyrzec się go powinien — zawołał głośno komtur z gwałtownością wielką. — Myśmy rycerzami niemieckimi, sprawa nasza nie ma wspólnego z temi plemionami, które wyniszczyć potrzeba i wygubić, aby zająć ich ziemię.

Marszałek nie przeczył, a drugi komtur toruński dodał.

— Póki tu ślad ich języka, ich obyczaju, ich rodu zostanie, pokoju mieć nie będziemy. Dla tego musimy wycinać w pień... i na karczunku krwawym nowy las sadzić.

— Jeśli sobie pochlebiają — rzekł marszałek — że my ich przez jakąś ludzkość szczerzyć będziemy!!

Nie dokończył i mrużąc się odwrócił.

— Pułki wojewody — począł Elbląski — potrzeba zawsze naprzód słać, gdzie największe niebezpieczeństwo i gdzie najpewniejsza śmierć, tym sposobem się tych pomocników pozbędziemy.

— Ale dziś, bracie mój — przerwał zwracając się marszałek — jeszcze są potrzebni! Dla tego samego nam dobrzy, że Łoktkowi bez nich źle bardzo.

Słyszę, że stary lis nieśmie wyleżeć z jamy. Kryje się gdzieś z lichem swem zbieranem wojskiem, po lasach. Nie będzie śmiał nam stawić czoła. A pod Kalisz i króla Jana się doczekamy.

Spojrzeni po sobie.

— Króla Jana! daj to Boże — rzekł z powątpiewaniem Toruński komtur.

— Przyjdzie zapewne — odezwał się inny ze starszyzny — ale dla niego wcześniej worki nabite przygotować trzeba. Prawda, że jako prawowity król polski, Pomorze nam odda na wieki, ale zapłacić sobie każe. Pieniądzy potrzeba będzie dlań dużo.

Marszałek Teodoryk z dwuznacznym uśmiechem rzekł, ręką na kraj wskazując.

— Dostarczę nam ich ta wyprawa... W Kaliszu ja się wielkiego łupu nie spodziewam, ale z tamtąd pociągniemy na Gniezno.

— Kościelny skarbiec stary, zamożny, dla króla Jana srebra dostarczy.

— No — i inne miasteczka, w których handel większy, nie są do pogardzenia.

Kalisz osadzić musimy.

Zaczęto mówić o położeniu zamku, o wodach, które przystępu broniły, o obwarowaniu miasta.

Marszałek zapewniał, że pod Kalisz król Jan powinien być nadejść.

Gdy pod krwawym namiotem toczyły się tak rozmowy, na skraju obozujące polskie pułki Nałęczów, odosobnione, w położeniu najgorszym, szemrały, z Niemcami zwady były nieustanne. Nie puszczały oni do wodopoju, zajmowali najlepsze łąki, przywłaszczali sobie najwygodniejsze stanowiska. Między ciurami i żołnierzem, jak gdyby lada chwila miała walka wybuchnąć, zaczepki były ciągłe. Silniejsi Niemcy nadużywali swej przewagi. Polskie posiłki wzgardzone, prawie jak niewolnicy, musieli podrzędne jakieś zajmować stanowisko. Skargi na to nie pomagały. Wojewoda się burzył, marszałek, u którego się upominał o poszanowanie Wielkopolskiej ziemi, odpowiadał mu pół-słowy, ruszał ramionami, tłumaczył się wojną, nie zważał wreszcie na nie i czynił swoje.

Nie było już żadną tajemnicą w obozie, że po wzięciu Kalisza, który się spodziewano opanować, droga na Znin szła wprost do Gniezna, w serce Wielkopolski. Przebąkiwano o wyprawie na Sieradz, na Wartę. O łupieży stolicy arcybiskupiej mówiono za-wczasu obiecując sobie z niej wiele. Wincz chodził po małym namiocie swym, wybiegał z niego, biegał po podwórzu, siadał, wstawał i wszyscy widzieli jawnie, że krew w nim się burzyła.



Niekiedy spoglądał na czerwony namiot marszałka z taką złością, jakby chciał pójść nań nie z posiłkiem, ale z mieczem w dłoni.

Wśród dokoła stojących pułków wojewody, toż samo rozdrażnienie panowało, jakie nim miotano. Starszyzna schadzała się, naradzała burzliwie, krzyczała i ku niemcom ręce wyciągając, zdawała się grozić im. Lecz cóż znaczyły groźby bezsilne, gdy garsć ta była w rękę Krzyżaków, czterekroć silniejszych i lepiej uzbrojonych.

O paręset kroków od namiotu wojewody, przy wozach Remisza Nałęczu, który wiekiem i powagą najstarszym tu był po wojewodzie, stało dowódców, wszystkich rodem Nałęczów, z dziesiątek. Byli tam Żegota zwany Siłacz, Klimsz zwany Ogon, Jur zwany Nosala i inni.

Zaden z nich na chwilę nie przysiadł, chodzili wszyscy, miotając się. Po przykrem milczeniu następowały wybuchy krzykliwe. Remisz jak mógł uśmiechał.

— Te psy sobie z tego nie robią nawet tajemnicy — mówił Ogon — wprost z Kalisza pójda na Gniezno. Znają dobrze, gdzie się najlepiej obłowić mogą. Sam słyszałem na uszy moje, że ten sam los, który spotkał Łęczyce, obiecują nietylko Gnieznu, ale Środzie i okolicom, Śieradziowi potem, Warcie i... kto ich wie!!

Pójda może i na Poznań! a my im pomagać mamy, gdy nasze własne dwory łupić i palić będą!!

— A no, tak! — krzyknął Żegota Siłacz — potośmy szli i tak piękny z niemi wojewoda sojusz zawarł, bodaj jutra nie doczekał, że będziemy się sami ze skóry odzierać!

— Mówił nam — dodał Ogon — że przez to my ocalimy nasze mienie i kraj, a teraz? co! zdał nas jak niewolników — przepadliśmy...

— Przepadli! — powtórzyli drudzy.

— Mamy ginąć — zawołał Klimsz — no, to i on z życiem nie ujdzie... Niech ginie.

Remisz nakazał milczenie.

— Nie łowcie ryb przed niewodem, nie może być, aby nas i siebie gubił, człek bystry, rozumny.

— Ale stracił rozum, bo go złość opanowała — wtrącił Ogon. Zemsty mu się zakosztować chciało, i sam się zdał za nią.

— Czekajmy no — rzekł Remisz.

— Czego czekać? żeby było po czasie? — podchwycił Siłacz. — Nie! oto jak stojemy, idźmy się z nim rozmówić jasno i szczerze.

— A no! idźmy — wołali inni.

Remisz siedział niepewien.

Patrzali nań.

— Idziecie z nami? — zapytali.

— Muszę — odparł krótko.

Zebrali się więc do gromady, poszeptali nieco, ustawili wedle starszeństwa, przybrali poważne postacie i zwolna poczęli kroczyć ku namiotowi wojewody, który właśnie był wyszedł z niego i widział ich gromadzących się a zmierzających ku sobie.

Po drodze do gromadki tej zaczęli się przylączać inni, z dziesiątki urosła wprędce w dwójnasób. Garnęli się wszyscy, kto się tylko dowiedział dokąd i po co idą. Nim mieli czas dojść do namiotu, wojewoda, w którego oczach się to działo, postrzegł i domyślił się, że starszyzna ku niemu szła, a i celu tego wystąpienia łatwo mu się było dorozumieć, bo go pojeżdżyczy już od dni kilku słowy zaczepiali, i ostro się im odcinać musiał. I teraz też widząc, że go pewnie naprą aby się tłumaczył, postanowił nie pobłażać i nieugiąć się a stawieć ostro.

Im więcej czuł swą winę, tem mniej mógł do niej przyznać. Kości były rzucone, wycofać się niepodobństwo.

Idąc zwolna, Nałęcze naradzali się, kto rzeczni-kiem miał być, Ogona i Nosala obawiano się dla go-rażości ich, zgodzono się na Remisza...

Gdy już wątpliwości mieć nie mógł Wincz, że do



niego idą, stanął z podniesioną głową, oparłszy się na mieczu i czekał na nich wyzywająco.

Remisz przodem szedł.

Powitali się zimno.

— Przychodzimy do was na radę i z żalobą — odezwał się mówca. Coś źle się nam zapowiada wyprawa. Niemcy nie czynią z tego tajemnicy, że z pod Kalisza na Gniezno eha, no—to i okolicy nie darują. A co się stanie z naszymi wsiami i osadami? Wszystko pójdzie w perzynę! a po cóż my tu?

Wojewoda wydał usta.

— Przecież ja w tem jak wy poszkodowany być mogę — odezwał się. — Zostawcież mnie o to staranie. Do Gniezna daleko.

— Nie tak bardzo — mruknął Ogon. — A my teraz w ich rękach.

— Mistrz mi przyrzekł — począł dławiać się wojewoda — że nas oszczędzi.

— A marszałek pójdzie po swej myśli. Wojna jak woda — mówił Klimsz — puścić ją łatwo, ale zatrzymać ją i pokierować nią, niech kto będzie mądry.

Wincz surowo spojrzał, burzyło się w nim coraz silniej, zagryzł usta blade, oczy mu zaszyły jakąś powłoką krwawą.

— Zwierzyliście mnie dowództwo — począł głosem napróżno hamowanym, w którym czuć było gniew okrutny — jam tu najwyższy wódz. Wasza rzecz ze mną iść i mnie słuchać.

— A kto nie zechce...

Rękę podniósł, jak gdyby gałęzią groził.

— Ho! ho! — mruknął Ogon — ho! ho! ziemianieśmy nie niewolnicy, poczekaj.

— Żołnierze nie ziemianie — odparł przyskakując doń wojewoda. — Tu kto nie słucha, winien sądu, a kary innej nie będzie u mnie, tylko — śmierć! słyszyście.

Odwrócił się nagle, jakby do namiotu iść chciał.

Niezłękniomy wcale Ogon, zawołał wnet.

— Już tak z nami mówicie? już tak! Sprzedaliście nas Niemcom? he?

Wojewoda przypadł ku niemu, za miecz chwytając, ale Remisz porwał jego rękę i jak w żelaznej obręczy ją zatrzymał.

— Słuchaj wojewodo — rzekł — nie dolewaj oleju do ognia. Miarkuj się, radźmy jak swoi, jak bracia jednego rodu.

— Ani rodu, ni braterstwa niema na wojnie — począł wojewoda — jedno jest rozkaz i posłuszeństwo.

— Ziemianin i na wojnie ziemianinem być nie przestaje — odparł Ogon.

Z za niego jeden z Nałęczów, nieopatrzny, krzyknął.

— Wiedz ty — Wincz!.. że choć wojewodą jesteś, jak nas zdradzisz, tak jakoś króla zdradził, to ci łeb utniemy!!

I miecz błysnął.

Wincz swojego dobył.

— Będzie komu mnie pomścić — zawołał, na obóz niemiecki patrząc.

Okrzykiem zagłuszono go, wszyscy byli oburzeni.

— Dobrze tak! — krzyczeli z tyłu stojący. — Dobka nam było słuchać, a nie jego. W matnię nas wprowadził, na zgubę...

Rozgorzało okrutnie. Wojewodę ledwie Remisz utrzymać mógł, tak się miotał i wściekał.

Tymczasem w niemieckim obozie postrzegłszy ten zamęt i spór, Krzyżacy wstawać zaczęli, ruszać się też i dawali sobie znaki, zbliżając się powoli ku polskiemu oddziałowi.

Klimsz wskazał to swoim, wszyscy się pomiarkowali. Sam wojewoda ochłonął nieco i z Remiszem a dwoma innymi wybranymi usunął się do namiotu. Reszta ich w oczekiwaniu rozłożyła się do koła, siadając i kładąc się na ziemi. Z namiotu słyszał było głosy podniesione, gorące, ale mało co kto z urywanych



wyrazów mógł dosłyszeć, ziemianie zbliżali się, nstawiali ucha, kiwali głowami... dawali sobie znaki. Po chwili zniżył głos wojewoda, ciszej prowadzono rozmowę. Przedłużyła się ona dosyć, i gdy Remisz z towarzyszami wyszedł z namiotu, w którym wojewoda pozostał, poszeptał coś swoim, którzy powstawali i dosyć kwaśni a pochmurni rozchodzić się zaczęli.

Jaki był skutek rozmowy, wiedziało tylko kilku starszyny, innych zapewniono, że wojewoda z Krzyżakami ostro się rozmówi i kraju ich bronić będzie, boć razem i siebie.

Do czasu więc pozornie uspokoiły się umysły, Remisz z kilka, którzy go nie odstępowali, nim doszedł do swych wozów, zobaczyli jak wojewoda przeodział się w lepsze szaty i kilku ludzi biorąc z sobą, podążył wprost do czerwonego namiotu. Robiło się ciemno, ale pod namiotem marszałkowskim, gdzie gości przyjmowano, jasno było... Jak gwiazdy czerwone w dali błyskały porozrzucone ogniska niemieckiego obozu. Wiatr poruszał wielką chorągwią, która jakimś głosem dziwnym się do niego odzywała, zwiłając i rozciągając nad namiotem, targana jakby gorączką jakąś, która naprzód ją rwała...

Mierzonym krokiem szedł wojewoda do namiotu, a gdy pomijał ludzi krzyżackich, nawet Knechtów i sergentów ich, żaden mu krokiem z drogi się nie usunął i nie okazał najmniejszego uszanowania, choć znali go, że wodzem był i pacholę przed nim miecz niosło.

Ale co dla Niemców Polak znaczyl?

Uśmiechali się, spoglądając nań z ukosa, jakby już spętany był i w niewoli.

Rycerstwo bardzo głośno rozprawiało pod namiotem, gdy u wnijscia jego pokazał się wojewoda Wincz. Szedł za nim nieodstępny towarzysz Petrek Kopa. Spojrzawszy na Wincza, wszyscy Krzyżacy i grafy i pielgrzymi, siedzący u stołu, zamilkli nagle. Nikt

z powitaniem nie śpieszył. Dopiero zdala stojący marszałek gdy milczenie mu oznajmiło, że coś je spowodować musiało, obrócił głowę i krokiem poważnym, jakby od niechcenia, z obowiązku przybliżył się do wojewody. Skłonił lekko głowę i na ławę u stołu nie zajęta wskazał.

Ktoby nie wiedział jakim tu okiem i sercem patrzano i przyjmowano wojewodę, z przyjęcia łatwoby się mógł domyśleć. Mierzono go oczyma nieufnemi, złemi, pogardliwemi. Odwracali się jedni, drudzy udawali zajętych rozmową cichą między sobą.

Marszałek zmuszony był sam odezwać się do Wincza.

— Z Kalisza nam przysły wieści, że mieszczenie już się opatrzyli, co im grozi i, głupcy, bronić się myślą.

Patrzył czekając odpowiedzi.

Wojewoda milczał.

— Od króla choć nie ma wiadomości, ale pod Kalisz przyciągnie pewnie, posłałem do niego, aby pośpieszał—rzekł Teodoryk.

— A o królu waszym krakowskim, wieści niema—dodał.—Uciekł w lasy.

Na wzmiankę o Łoktku zarumienił się wojewoda.

— Moim królem Jan — odparł — tamtego już nie znam.

To mówiąc dał znak marszałkowi, iż potrzebował mówić z nim na osobności. Teodoryk dosyć niechętnie, zawahawszy się trochę, począł iść przodem. Minęli stół, od którego oczyma za nimi pogoniono. W końcu tej jakby obszernej sali, za zasłoną, oddzielony od niej, ale zrosły z namiotem wielkim, był marszałka sypialny razem z kaplicą.

Teodoryk podniósł kobierzec, którym zawieszono było przejście i wszedł pierwszy, wskazując wojewodzie aby szedł za nim. Tu stanął i czekał milczący.

— W obozie źle chodzą wieści — począł Wincz...—



Ludzie się moi niepokoją wielce... Gawiedź wasza plecie o pochodzie na Gniezno.

Wojewoda mówił to złamanym językiem, potrzeba mu było tłumacza i wskazał na drzwi. Marszałek udzielił pozwolenie. Kopa wszedł.

— Tak jest—szybko potwierdził Petrek.—W obozie naszym wielki strach. Po drodze Nałęczę mają wioski... obawiają się wszyscy...

Marszałek ramionami ruszył i wąsa pokręcił, flegma go nie opuszczała.

— Juściż na Gniezno i Wielkopolskę nie pójdziemy? — zagadnął wojewoda, wpatrując się w oczy Krzyżakowi, który stał nieporuszony.

— Ja wcale dziś mówić nie mogę dokąd pójdziemy — odezwał się obojętnie, król Jan nadeiagnie, zechce pewnie objąć Poznań, zechce wziąć Gniezno, my się temu sprzeciwić nie możemy, kraj to jego... królem nad nim jest, odebrać go powinien.

Wincz otarł twarz.

— Gdyby chciał Polskę tę objąć, niepotrzebuje jej niszczyć, oddamy mu ją... — rzekł — ja...

— A jeśli się grody upierać będą? — odparł Teodoryk.

Wojewoda spuścił głowę.

— Wierz mi, Palatynie — począł marszałek — nie przewiduj zbyt mocno i nie trwóż się. Wojna i zwycięzcy bez szkód się obejść nie mogą.

— Ale myśmy sprzymierzeńcy wasi, my idziemy z wami — będziemy patrzali na zniszczenie mienia naszego?! — zapytał Wincz.

Teodoryk w milczeniu zatarł ręce, brwi mu się w górę podniosły, usta poruszyły i skrzywiły, milczeniem mówić się zdawał.

— Na to poradzić nie mogę.

Cofnął się nieco w głąb małego namiotu.

— Palatynie — rzekł, powoli mierzając wyrazy. — Król Jan i zakon potrafią wam dobrą wolę okazaną zawdzięczyć. Znajdzie się czem wynagrodzić straty,

lecz dla uniknięcia ich my sobie wyprawę psować nie możemy.

Tak! ożywiając się mówił dalej. Musiemy krakowskiemu królikowi wrazić strach i pokazać, że się na wojnę z nami porywać niebezpiecznie. Pójdziemy ogniem i mieczem.

— Ależ to kraj nie krakowskiego pana, ale Jana! — odparł żywo wojewoda.

Marszałek postrzegł że się wydał mimowolnie z tem iż w polską koronę Jana nie bardzo wierzył — i żywo wtrącił.

— Nie wiemy jeszcze nic... nie wiemy. Zresztą, Palatynie, wasze majątki oszczędzimy i pominąć będziemy się starali.

— Moje? — odparł wojewoda — ja bym o nie nie tyle stał, ale innych Nałęczów co są ze mną i burzą się.

— Burzą się? — podchwycił marszałek — burzą? dajcie ich w ręce moje, ja uspokoję...

Uśmiech szyderski towarzyszył tej obietnicy.

Po chwili zadumany wojewoda począł znowu.

— Mistrz mi obiecał...

Marszałek, który był przysiadł na posłaniu, wstał.

— Mistrz nie dowodzi wyprawą, i nie odpowiada za nią — rzekł. Po powrocie rozmówicie się z nim.

Nie siadał już i okazać się starał jakby rozmowę tę za dokończoną uważał. Wojewoda siedział, znękany był i upokorzony.

— Wnijdźcie w położenie moje — rzekł głosem przytłumionym — proszę was, wdzięczny wam będę.

— Położenie wasze! a tak — odpowiedział Teodoryk. — Rozumiem że jest przykre, ale ja go osłodzić nie potrafię. Wszystkie jego następstwa musicie przyjąć. To było do przewidzenia.

Zmierzyli się oczyma, oburzony chłodem, w którym trocha przebijało się szyderstwo, Wojewoda wstał. Brwi ściągnął, chciałby był okazać się groźnym,straszyć, zaniepokoić — lecz Teodoryk patrzył na to



jego podrażnienie i gniew z taką chłodną krwią, z jaką słuchał wymówek.

Wojewoda był w mocy ich.

Marszałek nie czekając aż wynijdzie, sam pierwszy podniósł zasłonę i powoli powrócił do swych gości, wiodąc za sobą jak skazańca, z wyrokiem na twarzy wypiętnowanym wojewodę.

Kopa włókł się za nim.

Pozostała tu starszyna i goście, którzy na powrót Teodoryka oczekiwali, powitali go zdala pół uśmiechami.

Wincz, niechęć natychmiast ztąd uchodzić, padł na ławę zamyślony, lecz ukryć mu było trudno, że na osobności rozmowa źle dlań wypaść musiała.

— Szkoda, panie Palatynie — podniósł głos komtur toruński, który łamaną mówił polszczyzną — żeście temu młokosowi królewikowi z Poznania dali ujść!! Gdyby się go nam było udało wziąć... krakowski królik dałby nam za niego czegośbyśmy żywnie zażądali.

Wojewoda zachnął się.

— Ostrożny był — szepnął krótko.

— A w Pyzdrach — dodał komtur — gdzieśmy na pewno go się spodziewali, furta tylną się nam wysunął.

— To wasza była sprawa nie moja — rzekł wojewoda. — Samiście tam byli.

— Jego i tę poganę żonę trzeba było w Poznaniu zachwycić — dodał Elbląski komtur. — Monarchę się chrześcijańskim niby zowie, do Rzymu pielgrzymował, do Awinionu teraz śle skargi, pobożnego udaje, a syna z poganą tego rodu bałwochwalców ożenił...

— Ochrczoną jest — wtrącił Petrek Kopa.

Komtur się rozśmiał.

— Kto kiedy z poganina, chrztem zrobił chrześcijanina? — rzekł szydersko. — Chyba zaraz oblawszy go wodą i krwią obmyć, aby nie miał czasu wrócić do własnych wyrzutów! Chrzest dobry jest tylko mieczem.

Ochrczono ją, mówicie, a ja wiem, że po dziś dzień obrzędy najobrzydliwsze pogańskie potajemnie sprawuje i do lasów jeździ dębom się kłaniać, szatanowi służyć!!

Okrzyk zgrozy rozszedł się pomiędzy biesiadnikami.

Oni tu ten cały kraj mianują chrześcijańskim — mówił Elbląski. Mają niby kościoły, mnichów... ale poganie są... Wszystko to udane, kłamstwo.

Wojewoda odezwać się nie śmiał, Kopa cofnął się i milczał. Marszałek nie mięszał się do rozmowy. Winczowi z rozkazu jego pigment podano w kubku, który on nietkniętym na stole zostawił.

Chwilę posiedziawszy, wstał z miejsca swojego, zlekka pozdrowił siedzących, którzy mu ukłonu nie oddali i wiodąc za sobą Kopę, wyszedł z namiotu.

Szyderskiemi oczyma ścigano go... Milczenie trwało dopóki się nie oddalił.

— Mojem zdaniem — zamruczał komtur toruński — jabym mu nie radził wierzyć. Mieć go trzeba na oku.

— A czegoż się od niego obawiać mamy?? — oparł się marszałek. — Gdyby się do krakowskiego królika chciał wrócić, miecz go czeka, bo ten nie przebacza. Na łasce naszej jest.

Obożny też wie iż jego ludzi w środek brać należy i naszemi opasywać.

Był nam jeźli nie strasznym to niedogodnym, póki zemsta w nim nie zawrzała — a teraz!! Pogardliwie urwał Teodoryk.

Niektórzy dzielili zdanie jego, inni siedzieli milczący.

Przez rozwarłe wnijście wielkiego namiotu widać było niebo czarne, zasiane gwiazdami i ziemię czarną zasianą ogniskami... Z drugiej strony na tle nocy, płonęła luna ogromna, poruszająca się, jakby szła i zbliżała, a gonila wojsko.

W dali rżały konie i pieśni pijane... słychać było kłótnie przerywane nagle... Wiatr niekiedy od strony



spustoszenia przylatywał z poselstwem śmierci, z wonią zgorzeliska i trupów...

— Jak dzień do Kalisza—odezwał się marszałek—aby nie mieli czasu się obwarować i zadługo nas tem nie strzymali.

Komturowie obrócili się do swych kompanów wydając rozkazy, biesiadnicy szli do swoich namiotów spoczywać.

#### IV.

Nie było czasu namiotów rozwijać pod Koninem, wojewoda krył się od sloty pod szalasem na przedce z gałęzi skleconym, przysiadł sparty o ściankę jego od strony nawałnicy przeciwnej, otulony opończą, z głową zwieszoną na piersi, nie podnosząc oczu, obawiając się spojrzeć przed siebie.

Nie ten to był człowiek, któregośmy dumnym, silnym, pewnym siebie w Pomorzanach widzieli, wyzywającym króla, gotowym walczyć ze światem całym. Była to ofiara namiętności własnych i niepocziwości ludzi. Wychudła twarz, zapadłe szczęki, powiększone boleścią oczy, patrzące dziko, drgające ręce, uszy na najmniejszy szelest drażliwe, strasznym go razem i politowania godnym czyniły. Siedział sam, opuszczony przez wszystkich, bo służba nawet zbliżała się doń z obawą, niechęcią, ze wstrętem.

Prawa jego ręka Włostek, siedział gdzieś na uboczu...

Ziemianie, którzy nań napadali, szukając u niego ratunku, teraz już przekonani o bezsilności jego, opuścili zupełnie. Zemstą się odgrażano, lecz nikt się nie porywał z nią, każdy musiał myśleć o własnem oca-

leniu. Od napadu na Łęczycę Kalisz, i spory kawał czasu upłynął, Wielkopolska w znacznej części została zniszczoną, złupioną, ogniem i mieczem obróconą w pułstynię.

Ci co szli z krzyżakami, własnymi oczyma patrzeć musieli na płonące siola swoje, na rabunek swych dworów... Niektórzy pochodzili z obozu, innych uchodzących pochwycili i wiązali krzyżacy...

Wszystkie, najgorsze przepowiednie się ziściły... Kalisz został wzięty, za nim szerokim pasem poszła pożoga i śmierć...

Nigdy krzyżacy większego nie ukazali okrucieństwa...

Marszałek, który mało mówił, a wiódł bezlitośnie zastępy swe, nikogo nie opuszczając, raz tylko się odezwał.

— Niech się papieżowi skarży królik Krakowski, zobaczymy co zyszcze...

Uragano się królowi, który zdala i jakby nie śmiało szedł za zwycięzkimi rabusiami. Słysząc o nim było, nie ukazywał się nigdzie.

Pomimo siły swej i zwycięstw, których żadne niepowodzenie nie zatrzymało, krzyżacy byli niespokojni. To widmo króla, chodzące za nimi ciągle, nie pochwycione i nie postrzeżone, nie dawało im usypiać na zgłiszczach...

Polski oddział wojewody zdawał się iść z nimi po to tylko, aby patrzeć na zniszczenie ziemi swojej. Wlekli się opasani jak niewolnicy, bezsilni.

Wojewoda napróżno wołał i prosił litości, płakał łzami krwawymi, marszałek słuchał go obojętny, a w końcu i słuchać przestał. Odmawiał mu rozmowy, posyłał do niego podwładnych. Zbywano go czasem słowem lodowatym, niekiedy urągawiskiem.

Zdrajca, od którego odwracali się wszyscy, pokutował, piekło nosząc w piersi i dręcząc się jak potępieniec. Nie było dlań ratunku, każdy dzień, każda



łupież i zniszczenie nowe spadały brzemieniem coraz cięższem na obarczone starca sumienie.

Widok zemsty tej, którą wiódł z sobą na posiadłości Łoktkowe, już go nie rzeźwił i nie pocieszał. Uczucie to dawno było nasycone i zgasłe. Przed nim przeszłość stała tak straszna, że śmierć wydawała się wyzwoleniem.

W małych potyczkach, przy braniu miast, które się broniły, wojewoda rzucał się jak szalony w wir walczących, narażał na strzały, szukał śmierci tej, i znaleźć jej nie mógł.

Inna mu była przeznaczona, i taka może, na jaką zasłużył. W obozie pod Koninem, już miara goryczy jaką mógł wypić człowiek, zdawała się wypełnioną. Wojewoda czuł, że dłużej patrzeć na tę rzeź nie potrafi... Mówiono do niego nie słyszał; zatopiony w sobie szukał sposobu tylko jakimby koniec swój przyspieszył.

Wieczór był późny, noc się zbliżała, pod szalasem wojewody ciemno się robiło, ze służby jego nikt nie przychodził, siedziała opodal tuląc się od deszczu pod wozami. W początku, gdy obóz rozbijano, czeladź chciała mu posłużyć, pytała o rozkazy, raz i drugi wojewoda ją rozpędził.

Siedział więc teraz samotny, znieczulony, obojętny, jakiś pół senny, pół martwy, zbolały.

Tymczasem Włostek, który miał nad nim litość, nie pytając już o rozkazy, o kilka kroków kazał namiot rozbić, łoże posłać i nocleg przygotować...

Ze wszystkich, co byli przy wojewodzie, on jeden najlepiej, najdawniej go znając, najśmielszym był, i gdy namiot rozpięto, zabezpieczywszy go sznurami od burzy, Włostek pod ciemny szalas wsunął się szukać pana.

Nic nie mówiąc ujął go pod rękę... Wojewoda wstał i nie pytając, dokąd go prowadzi, poszedł za nim. W namiocie rzucił się na pościel, i oczy wlepiwszy w małą lampkę, którą Włostek zapalić kazał,

pozostał bezwładny... Jedzenia odmówił, wody brudnej napił się trochę.

Porzucono go tam samym, bo nikt się do niego nie zgłaszał już, nikt i widzieć nie chciał. Ze wszystkimi zwaśniony był...

Wojewoda ze znużenia drzemać począł, lecz zaledwie sen zamykał mu oczy, jakiś przestרח je otwierał, rzucał się, oglądał, trwożył...

Raz i drugi za miecz chwycił i odrzucił go precz. W tem zaszeleściło coś około namiotu, opłotki i zasłona się podniosła, wysoki mężczyzna obwinięty opończą z kołnierzem stojącym, którego twarz była całkiem zakryta, ostrożnie wśliznął się do namiotu.

Wszedł, przystanął w progu, obejrzał się i widząc wojewodę, który za miecz ręką drżącą pochwyił — nie poruszył się tem, ani uląkł, pozostał obojętnym.

Wincz siadł na łożu.

Wniście to człowieka z zakrytą twarzą zdawało się go przestraszać — zwolna przybyły odrzucił kołnierza, który mu krył oblicze, zdjął czapkę na czoło nasuniętą. Wojewoda poznał Dobka Nałęcza, którego od ostatniej z nim rozmowy i rozbratu w Pomorzach, nie widział.

Dobek nie był z niemi... Cóż on mógł robić w krzyżackim obozie?

Żywy to był i straszny wyrzut — ten człowiek, który z nim jedną nie chciał pójść drogą, a teraz przychodził może urągać się jego spodleniu i upadkowi.

Dobek stał i patrzył, ale w wejrzeniu trudno było dobać, litość przeważała czy wżgarda, oburzenie czy miłosierdzie.

Postąpił krokiem ku łożu, ręce załamał i głowę zaczął potrząsać w milczeniu...

— Czego chcesz? — krzyknął tem przedłużonem wpatrywaniem się w siebie rozgniewany Wincz. — Czego tu chcesz? Głowę przyniósł pod miecz...

— A... choćby — odparł obojętnie Dobek. — Głowę



stracić to nic, ale cześć stracić, imię pokalać, ród po-  
hańbić!! to gorzej...

Wojewoda milczał drżący.

— Czegom tu przyszedł? — mówił dalej — spytał  
przyszedłem ciebie o rachunek... Czem ty to zapłacisz,  
do czego swoją zdradą dopomogłeś i co na twój kark  
i sumienie spadło...

Słuchaj.

Wojewoda chciał przerwać, Dobek nakazał mu  
milczenie.

— Słuchaj! Oto masz lik twoich czynów... Łęczy-  
ca spalona i łęczyckie spustoszone, Kalisz wzięty...  
Z nim opanowane Gniezno!! słyszysz ty to?... Gniez-  
no... Zamek, kościół, grób patrona, skarbiec świętego,  
wszystko złupione... Nakło w popiołach, Środa spalo-  
na, Pobiedziska zrównane z ziemią, Kleck, Kostrzyń,  
Sieradz, Uniejów, Warta, Szadek...

A wsie, a kościoły, a klasztory, a ludzkich żywo-  
tów tyle, a zbiegłych tyle, co po lasach mra z głodu,  
a krwawe lzy?...

Mało ci tego? Syt jesteś? Nie jeszcze? Czego ci  
więcej potrzeba?! Mów...

Jęknął Dobek.

Co się działo, gdy on to przerywanym mówił gło-  
sem, powoli jak krople wrzącej smoły na ciało nagie,  
rzucając te imiona na sumienie jego, co się działo  
z Wincem, Dobek sam nie mógł zrozumieć, czy  
miał zakryte dłonią, a usta, które pozostały odsłonięte,  
ból wykrzywił.

Milczenie trwało długo, wojewoda nie odpowia-  
dał nic.

— Mów — odezwał się Dobek — gdzie, dokąd ich  
jeszcze powiedziesz, i gdzie my z żonami i dziećmi  
przed tobą i przed niemi chronić się mamy?.

Ja nie mam już domu ni łomu, w lesie, w jamie  
tulej nędzę moją... srom mój, zem także Nałęcz jako  
ty... bo nas ludzie palcami wytykają.

Gdy to mówił, wojewoda się zerwał na nogi —

a Dobek cofnął mimowoli, sądząc, że z mieczem się  
nań rzuci.

Lecz Wincz spojrział nań tylko gniewnie, ręce roz-  
postarł i głowę pochylił ku ziemi.

— Jeszcze się to nie skończyło, co się poczęło —  
rzekł zadławionym głosem. — Nie widzicie jeszcze koń-  
ca, obróci się to inaczej... Z Krzyżakami, z królem  
Janem, z Mistrzem... będę mówił, teraz z rozwście-  
czonym żołnierzem nie ma sposobu... Zdziczełi, słuchać  
nie chcą...

Dobek kiwał głową szydersko.

— A kiedyż słuchać będą? — przerwał gniewnie —  
gdy jeszcze słabsi będziemy niż dziś! Albo to są lu-  
dzie? albo to chrześcijanie? Zdaliście siebie i kraj na  
katy. . wzięli was — nie oszczędzą nas... myślicie, że  
miłosierdzie mieć będą?

— Nieskończone to! nieskończone! porachujemy  
się! — zamruczał wojewoda — nie klnijcie mnie, ja  
krew i głowę dam, a złe to odrobie!

— Jak! czem! — począł Dobek. — Wróćcie życie  
zabitym odbudujecie miasto!.. Oddacie nam cześć  
straconą!!

— Czegoż ty chcesz odemnie? — wrzasnął znie-  
cierpliwiony wojewoda, czego?

— Chciałem ci tylko pokazać jedną z ofiar two-  
ich — rzekł Dobek. — Masz ją, patrz na mnie... Ja,  
dzieci i wnuki przeklinać cię będziemy, ciebie coś dla  
swojej pychy i zemsty nas wszystkich poświęcił i kraj  
do zguby poprowadził. — Przeklęty bądź — szalony star-  
cze... przeklęty...

Wincz słuchał tego wybuchu z głową spuszczoną,  
nie odparł słowa — obijały się o niego te wyrazy, jak  
garść rzuconego piasku od żelaznej zbroi. Stał nie-  
ruchomy.

— Przyszedłem — dodał Dobek — aby kogo jeszcze  
czas ocalić i wyrwać z twoich rąk. Zabiorę Nałęczów,  
którzy warci są, aby ich ratować. Zostaniesz sam  
z młotem krzyżaki...



Odwrócił się od niego...

— Nie waż mi się tego czynić! — krzyknął wojewoda, postępując za nim. Zakazuję; nie wiesz co jutro będzie — ja ich potrzebuję...

— Abyś ich zdał wszystkich Niemcom!

Wincz chciał coś mówić, rzucił obłąkanym wzrokiem i wstrzymał się...

Dobek spojrzał nań i wypadł z namiotu. Zawrócił się, trzymając zasłonę nad sobą.

— Jedyne ratunek — rzekł — chcesz? idź z nami. Wymkniemy się oddziałem z obozu, i pójdziemy precz... przebojem, gdy trzeba.

Wojewoda zmarszczył się i nogą uderzył o ziemię.

— I ja niepójdę — i ty mi ludzi się nie waż odciągać, potrzebni będą. Powiadam ci — nieskończona sprawa. Potrafiłem zło uczynić, potrafię je naprawić, ale...

— Ale chcesz, byśmy ci teraz zawierzyli? — zaśmiał się Dobek... — Zapewne!

I opuścił namiot.

Wojewoda, który aż do progu się za nim posunął, wstrzymał się tu, zwrócił namyśliwszy i padł na łożo.

Po chwili zawołał Włostka, który zawsze czuwał w bliskości... kilka słów mu szepnął... i odprawił. Mimo znużenia nie mógł zamrużyć oka i oczyma szeroko otwartymi, patrzył na wnijsie do namiotu. Czekając, Włostek zjawiał się po długim oczekiwaniu.

Polecono mu było iść w ślad za Dobkiem i wstrzymać tych, coby z niem uchodzić chcieli. Lecz jak wojewodę nie bardzo słuchano, tak i jego sługa dziś dawnego miru nie miał w wojsku.

Na próżno więc szukał Dobka i chciał dojść gdzie się obracał, odprawiono go gburowato, nie dopuszczono do namiotów... dopiero ze dniem obiecywał się dowiedzieć, czy kto z ich oddziału nie uszedł.

Wincz nie odpowiadawszy na doniesienie, głowę spuścił, ręką dał znać i pozostał na łożu, ale sen mu powiek już nie kleił. Rzucił się, walczył sam z so-

bą. Przekleństwa Dobka teraz dopiero skutkowały, powtarzając mu się w uszach...

Wieczorny szmer powoli ustawał w obozie, deszcz też i wiatr przeszły, niebo się nieco oczyszczać zaczęło. Cisza nocy nadchodziła.

Wojewoda pragnął spoczynku — i znaleźć go nie mógł, przerzucał się z boku na bok, wstawał, siadał, kładł się, jęczał.

Z wiadra wody, które stało w namiocie zaczerpnął kilka razy, jakby go wewnątrz paliło.

W tem ściany płócienne namiotu poruszyły się, jakby albo wiatr niemi rzucił, lub nieświadoma ręka szukała wnijsia do niego.

Wojewoda, który wiedział ilu miał nieprzyjaciół, a po Dobku przez przekleństwo domniemywał się, iż na życie jego godzić mogą, schwycił mieczyk...

Stapanie ostrożne dało się słyszeć, zasłona uchylila, ktoś wchodził... Wincz stanął, zerwawszy się z mieczem w rękę...

Lecz w progu ukazała się cała okryta czarną zasłoną — niewiasta, która chwiejąc się i ślaniając, wchodziła nieśmiało, a ręce podnosiła, jakby szukała i potrzebowała podpory.

Choć twarzy jej nie mógł dojrzeć wojewoda, drgnął, mrowie po nim przebiegło...

Postawą i ruchami przypomniała mu żonę, Halkę jego...

Białą i wychudłą ręką z wolna podniosła część zasłony i odkryła twarz troskami zmienioną i wybladłą.

Ona to była.

Po tylu doznanych strapieniach, po walkach wewnętrznych, po tem życiu piekielnych mąk, wspomnienie, które mu to niewieście serce przynosiło, było tak odżywiającem, że na chwilę zapomniał o wszystkim.

Z rozrzwinięciem rzuciwszy miecz, przybliżył się do niej...



Ty tu... Halko moja...

Przywiązana żona, posłuszna niegdyś niewiasta, której znał miłość dla siebie, zamiast rzucić się w jego objęcia—cofnęła się krok.

Zdawała się mówić by się nie zbliżał.

Upokorzony Wincz stanął.

Halka mówić nie mogła jeszcze, ręką cisnęła piersi, oddychając ciężko, przysłańiała sobie załamane oczy.

Duma nie pozwalała mu mówić więcej.

— Tak, ja — ja, przyszedłam raz jeszcze do ciebie, poczęła Halka cichym głosem. Przedarłam się tu mimo niebezpieczeństwa... Wincz... ratuj siebie i nas!!

Ponuro zamruczał coś wojewoda.

— Co, wam, babom mięszać się do spraw naszych—odezwał się wyraźniej. Co wy rozumiecie? Czekajcie... Jeszcze nie koniec...

Błysnął oczyma i tchnął ciężko, niewiedziął co mówić.

— Nie czekaj końca — przerwała żona — jakż on być może? Zguba ostatnia...

Zapłakała... Wincz się burzył...

— Mówicie o ratunku! jakż teraz może być! Wojna nieskończona... Ja tu nie mam z kim gadać. Króla Jana nie doczekali się, Mistrz w Malborgu, to głupia dziez.

Halka obejrzała się w koło, jakby obawiając by podsluchaną, załamała ręce.

— Porzuć ich — rzekła — odstęp...

— I cóż pocznę naówczas z sobą?—szydersko zawołał wojewoda... Wybija nas do nogi. Do kogoż się zwrócić?

Halka obejrzała się raz jeszcze.

— Do króla Władysława! — szepnęła — do naszego króla...

Wojewoda w gniewie i oburzeniu rzucił się aż w koniec namiotu.

— Ja? do niego? Miałbym się kłaniać, aby mnie

nogą popchnął? temu, który mi srom wyrządził, którego nienawidzę... nigdy w życiu!!

Żona patrzyła nań, dając mu się wyburzyć. Znała go zapewne i wiedziała, że pierwszemu wybuchowi potrzeba było dać ostygnąć...

Wincz zrywał się i poruszał gwałtownie, sam do siebie mówiąc, ona nie odzywała się, ścisnęła go tylko oczyma.

— Lepiej umrzeć, lepiej zginąć — zawołał.

— A co śmierć pomoże?—poczęła zwolna Halka.— Nazwiał cię po śmierci zdrajcą, jako dziś zowią. Idąc do króla zmażesz tę zdradę w uniesieniu popełnioną...

Wincz ponuro zadumany stał, szarpiąc kaftan na sobie.

— Nie, nie może to być—odparł.—Ja mojej głowy mu nie poniosę. On mi przebaczyć nie może, to darmo, bo w waszych tylko mózgach roić się może takie pojednanie. To nie mężka rzecz... Nie, nie. Siebie znam, nie daruję mu nigdy krzywdy mej, jego znam, on nigdy nie wróci mi łaski... Mam ginąć...

Nieskończył.

— Król przebaczy — po chwili milczenia, głosem pewnym odezwała się Halka.

Wincz wpatrzył się w nią.

— Zkąd to wiesz?

— Wiem, na pewno—powtórzyła—przebaczy...

Wojewoda zbliżył się niespokojny.

— Mów—począł naglić—zkąd ty przybywasz? kto ci zlecił? mówisz to z siebie?

Wojewodzina wystąpiła trochę, jakby szukała w sobie natchnienia, co powiedzieć była powinna, co zamilczeć, odwaga w nią wstępowała, policzki się lekko zarumieniały.

— Jadę ztamtąd — rzekła — gdzie mogłam napewno się dowiedzieć, o tem, co król myśli. Nie zleciono mi nic, bom nie wiedziała, czy się tu dostanę, lecz głową moją rękę—przebaczy!! Będiesz mu jak



byłeś radą i wodzem... zapomni coś zgrzeszył — jedź ze mną—jedź... błagam.

Spostrzegła wahanie się męża i nalegać poczęła.

— Wińcu mój, ty wiesz jak mi twoja cześć droga. Zaklinałam cię, byś nie wiązał się z niemi. Gniew zaślepił, krwawo zapłaciłeś za to. Jeszcze czas, jedź ze mną... wszystko naprawim...

Nadzieja ta niespodzianie błyskająca wojewodzie, w osłupienie go wprawiła — walczył z sobą. Halka zbliżyła się doń i rękę kładnąc na ramieniu, łagodniejszym głosem poczęła po cichu.

— Obóz króla niedaleko, nie wiedzą o nim krzyżacy, upojeni swojemi łatwemi zwycięstwami. Spili się krwią. Król za niemi goni, ściga ich, czekając chwili tylko... Jedź ze mną... Noc czarna... Powrócisz przededniem.

Wincz zaledwie mógł uszom swoim wierzyć. Łoktek więc był tak blisko? Ścigał krzyżaków? nie lękał się ich i czyhał na nich?

Szala mogła się przeważać!

Gdyby nie żona, której ufał, zaledwieby mu się to zdało możliwem.

Z ciekawością począł dopytywać o króla. Władysława, lecz Halka nie będąc pewną nawrócenia, miała to pomiarkowanie, iż obrotów jego zdradzać nie chciała. Była w obawie, czy się mimowolnie nie przyczyniła też do jego zguby.

— Przyszłam tu po ciebie, aby cię z ich szpon wyrwać — rzekła — chcesz ze mną do króla... jedź... nie? — po cóż ci wiedzieć o nim, abyś ścigał? a ja bym ci go na zemstę dać miała!

Cofnęła się oburzona samą tą myślą, i usta zacięła.

Wyczekawszy trochę, Halka padła przed nim na kolana, poczęła ścisnąć jego nogi...

— Słuchaj — jedź ze mną. Ja za twoje życie i bezpieczeństwo stoję. Powrócisz cały, czy się z nim

ugodzisz, czy nie. Słowo mi dali na to... Słowo królewskie święte... jedź ze mną.

Przez myśl wojewodzie przeszło wszystko, co wycierpiał od krzyżaków, od swoich, przekleństwo Dobka, wyrzuty własnego sumienia; nagle z porywcznością taką, jakby sam siebie się obawiał, chwycił hełm i płaszcz, nic nie mówiąc. Halka żywo, jakby w nią z nadzieją nowe wstąpiło życie, poczęła mu pomagać do odziania się.

Niepotrzebowala już słowa, знаła człowieka... postanowił jechać. Serce jej biło radością niewymowną, oczy błyskały łzami szczęścia.

Wojewoda z gorączkowym pośpiechem przypasywał miecz, brał i rzucał odzież... oczy jego latały po namiocie, ale nie mówił nic.

Nie wołał nawet Włostka, bo i jemu zwierzać się nie chciał...

Dogorywającą lampkę zdmuchnął... rękę podał żonie... Szli już z namiotu precz... nie spytał nawet, jak się z obozu wydobyć, jak do króla dostać mieli, ufał żonie, a do stracenia — nie już nie miał... nie dbał o nic.

Gdy wyszli z namiotu... Halka zawahała się trochę, szukając kogoś oczyma, dwa nieruchome cienie stały opodal trochę... Szli ku nim...

Noc była czarna, wiatr, który się uspokoił, zrywał się znowu chwilami, przelatując szumiąc nagle i opadał, niebo zakryły chmury, pomiędzy którymi blade gdzieniegdzie gwiazdki ukazywały się i znikwały.

Halka szła śmiało... aż do tego miejsca, w którym postrzegła stojących nieruchomo ludzi...

Jeden z nich przystąpił do niej bliżej, i poznawszy ruszył przodem, wskazując drogę. Drugi pozostał za niemi w tyle.

Wojewoda, który nie pytał o nic i dał się wieść, mijając tę postać tajemniczą, co miała im towarzyszyć, rzucił na nią okiem i zdało mu się, że poznał jednego ze swoich... Tym tylko sposobem dawało się



tłumaczyć, iż Halka przez obozowisko dostała się do jego namiotu.

Byli to tacy, co jej pomagali... Wiodący ich przodem szedł ostrożnie, pomijał szalasy, a nadewszystko niedopalone ogniska, których światło zdradziłoby ich mogło. — Szli ciągle przez stanowiska zajęte ludźmi wojewody... i niepotrzebowali przebywać krzyżackich, pomiędzy które ważyć się nie było bezpiecznem.

Pochód ten pieszko po nocy, trwał dość długo, bo kilka razy krzyki i wrzawa niedalekie zmuszały ich wstrzymać się, czekać, oglądać, aby nie wpaść w ręce ciurów i hałastry, której obozy pełne były.

Tak przedarli się w końcu na łąkę, wśród której spętane konie biedniejszych ludzi pasły się pod dozorem czeladzi... Ale ta spała znużona...

Z boku stały konie i ludzie... Spodziewano się, czy nie, wojewody, lecz wierzchowiec dla niego czekał osiodłany. Halka, która dawniej nieraz w szczególniejszych czasach mężowi towarzyszyła na łowy — dosiadła pierwsza podanego jej konia; dwaj ludzie towarzyszący im dotąd, skoczyli na siodła. W milczeniu, cicho, stępią wyruszyli od skraju obozowiska, łąką, po nad rzeczułką, ku czarnej ławie lasów, stojącej w dali. Przewodnik świadom drogi mimo nocy wiodł z pewnością taką, jakby z zawiązanymi oczyma mógł się tędy przedzierać.

Gdy tentent już w obozie dosłyszonym być nie mógł, żywszym klusem puszczono konie. Wojewoda, jadący obok żony, z głową obwisłą na piersi — nie otwierając ust, cały w sobie zamknięty, dawał się prowadzić, nie okazując znaku życia.

Halka z odsłoniętą twarzą, którą wiatr smagał, w dal oczyma otwartymi napróżno patrząc, jakby ciemności zwyciężyć chciały, śpieszyła to pół słowa nagłąc wiodącego, to się zwracając ku temu, który jechał za niemi.

Poruszoną była i — dawała rozkazy, czuła się wodzem...

W lesie stało się straszliwie ciemno i droga była prawie nie do rozpoznania. Tu już przewodnik najlepszy nie mógł nic, lecz stał za niego instynkt zwierząt; konie czuły miejsce, z którego wyszły i gdzie ich reszta pozostała. Puszczono je swobodnie.

Drożyna ciasna nie dozwalała inaczej jechać jak gęsiego, i żona puściła wojewodę przed siebie, sama zostając w tyle.

Zdawało się marzącemu o tem, co się stało wojewodzie, niepodobieństwem, ażeby w tak niewielkiej odległości od Krzyżaków Łoktek miał się znajdować. Nieograniczone zaufanie, jakie w żonie pokładał jedno, go uspakajało.

Myślał będzieli możliwem dotrzeć do Łoktka i nim zadnieje powrócić niepostrzeżonemu do namiotu?

Nie pytał jednak, nie mówił nic — czekał...

W tem rzenie konia dało się słyszeć zdala, a te, na których jechali, odpowiedziały na nie wesoło. Nic jednak jeszcze widać nie było, ciemności leśne ich otaczały, a puszcza była podszyta i gęsta.

Nie rychło — poczuli dym w powietrzu, to było drugie znamię zbliżania się do ludzi... naostatek błyszczą ogniki jakies z pomiędzy gałęzi. Jadący przodem zwolnił kroku.

Zatrzymali się na brzegu lasu... U nóg ich w dole była dolina nad rzeczką, rozlegająca się szeroko, w której domyślać się było można obozu.

Jadący przodem poskoczył, szukając straży obozowej, która tuż się znalazła. Poszeptali z sobą.

Stępią i po cichu posuwali się ku dolinie.

Cicho leżał obóz usypiony na pozór, lecz w istocie czuwający i jakby przyczajony. Ludzi pieszych snuło się wielu od namiotu do namiotu we zbrojach, przy mieczach pilnujących porządku.

Nie było to owo wrzawliwe, a pijane obozowisko krzyżackie, ale coś na kształt zasadzki, wyczekującej chwili sposobnej aby się rzucić na nieprzyjaciela.



Wojewoda kapturem przysłonił twarz... jechał nie-  
spokojny, oglądając się ku Halce, która, jak tylko  
droga pozwoliła, zrównała się z nim, stając do jego  
boku.

W pośrodku plac był obszerny, obwiedziony sznu-  
rem, na nim duży namiot szary przysadzisty i jak  
kilka grzybów z ziemi wyrosłych, trochę mniejszych  
po bokach...

Tu strażę gęściejsze chodziły... W namiocie wiel-  
kim przez płótno widać było światelko we wnętrzu.

Przewodnik zsiadł, a za jego przykładem wojewo-  
dzina zsunęła się z konia. Naprzeciw nim szedł już  
słusznego wzrostu mężczyzna, któremu kobieta sze-  
pnęła słów parę i ciągnąc męża za sobą pośpiesznie  
podeszła z nim do namiotu.

Dawał z sobą czynić co chciała... nie miał woli...

Towarzyszący im ludzie pozostali w pewnem od-  
daleniu...

Gdy tak czekali u drzwi namiotu, wojewodzina  
zbliżyła się do męża, chwyciła rękę jego i do ust  
ją przykładając, zawołała poruszona, głosem, w któ-  
rym łkanie słyszać było...

— W twoich rękach los nasz! cześć nasza... ży-  
cie... wszystko...

W tem podniesiono opłotek, światło przedarło się  
z wnętrza i na jasnem tle, wystąpiła mała, znana  
wojewodzie, postać króla, który sam wychodził ku  
niemu do prog.

V.

Milczący ku sobie się zbliżali; król taki, jakim  
bywał w najcięższych życia chwilach, kamienny, nie-  
poruszony, zdrętwiały a silny, wojewoda zburzony,  
niespokojny, upokorzony, roznamietniony walką z so-  
bą samym, nie pewien co pocznie, przybity i dumny  
razem.

Od jednego słowa, od brzmienia jego głosu zale-  
żeć mogło wszystko...

Wincz też nie śpieszył się przemówić, a król pa-  
trzał nań cierpliwie i czekał. Mierzyli się oczyma.  
Łoktek spokojem swym zwyciężył go, wojewoda spu-  
ścić wzrok był zmuszony.

Nie mogąc doczekać się od niego słowa, bo Wincz  
jak winowajca stał z głową zwieszoną, niemy, oczów  
już nie śmiejąc podnieść ku niemu; król szepnął cicho,  
głosem, w którym boleść mężna brzmiała i nieulek-  
niona.

— Nie tak my z tobą spotykać się byliśmy po-  
winni—nie tak!..

Z piersi Wincza wyrwało się coś niewyraźnego  
jak łkanie i popłątane wyrazy, beładne, raczej jęk  
boleści i upokorzenia.

Łoktek rękę ku niemu wyciągnął.

— Przyszedłeś tu, zawierzyłeś mi, toś już wielki  
krok uczynił, z Bożą pomocą i reszta się dokona.

To mówiąc, począł król iść ku środkowi namiotu  
skromnie i prawie ubogo, jak zwykle urządzonego,  
wojewoda włókł się za nim.

W tem podniósłszy oczy zdala spostrzegł stojącego  
w rycerskiej a pańskiej postawie, lecz z łagodnym  
twarzy wyrazem młodego Kaźmierza i — pobladł na  
widok jego.



Przypomniał mu upokorzenie, on, co był zajścia całego przyczyną.

W tej chwili, oblany krwią, która mu na twarz wystąpiła, wojewoda możeby się był cofnął, gdyby królewicz z wyciągniętą doń ręką nie przystąpił.

Nie rzekł nie, lecz pokazał, że nie pamiętał winy i gotów był ją przebaczyć.

Wojewoda, który czuł się winnym, dobrocią obu złamany został, skłonił głowę, okazując się na wszystko gotowym, powolnym.

— Słuchaj Wincz — odezwał się król, gdy młody pan odstąpił nieco, nie chcąc się mieszać do początku rozmowy, której został świadkiem. — Słuchaj Wincz, na rany Zbawiciela, na miłość dla tej korony, którą mi zdobyć i połączyć pomagałeś; na dawne twoje przywiązanie dla mnie, zaklinam cię, krok twój nie-szczęśliwy napraw!!

My—tu wskazał na syna—zapomniemy o wszystkim, ja ci na to uroczyscie przysięgam! Ratuń, nie mnie, nie nas, ale Polskę. Jam dla tej korony nie jeden raz życie niósł i dziś je dać gotów jestem. Ty jej nie gub i nie podawaj w ręce obcym...

Wincz rękę położył na piersiach i wyjąknął.

— Panie mój!.. — głosu mu zabrakło.

— Widzisz, co ci złoczyńcy, z którymi sprzymierzyłeś się, czynią z nami. Doświadczyłeś już ich — mówił król. Zniszczyli tę twoją i moją Wielkopolskę, stratowali ją, spustoszyli, złupili.

Nikomu oni nie przebaczą—ani wam! Zgubicie kraj, zginiesz ty!

— Panie miłosierny Panie! — począł wojewoda — a! zawiniłem... aleś ty mnie starego w samo serce ubódl, upokorzył i znieważył... Oszalałem z bólu.

— Ja? czem? — przerwał król. — Wincz, ty sam zważ i sądz! Ja sam gotówem synowi miejsca ustąpić, a tyś chciał, abym ciebie przeniósł nad niego? Przecież on, dali Bóg utrzymać ją na skroni, będzie

koronę nosił; a żeś ty przyszłemu królowi rządów musiał ustąpić, było to upokorzenie?

— Wojewodo — odezwał się Kazmierz zdala, głosem łagodnym, szanowałem cię i byłbym rad twych słuchał jak ojcowskich. Zli ludzie podbechtali na mnie... i oni są sprawcami niesnaski. Ja was uniewinniam...

W tem król pomileczawszy dorzucił.

— Słyszysz! Wincz... Zawdzięczymy ci oba, powracaj do nas, powracaj...

Wojewoda tchnął z głębin piersi.

— Panie—szepnął wahając się—jakże to dziś się da zrobić? Jam w ich rękach, niestety! Chcieć się wyrwać, wyrzezać nas do nogi zbójcy ci... Ze mną ród mój niemal cały...

Król przysłuchując się, powoli począł przybliżać do niego.

— Byle najmniejsze podejrzenie powzięli, tego im potrzeba — ciągnął dalej wojewoda — osaczają nas jak zwierza w lesie, siły nasze im nie sprostają, zginemy wszyscy... Co komu po tem!

— Zgubić się byłoby nierozumem—przerwał żywo Łoktek — tego ja od was nie chcę, ani myślę na to narazić. Owszem, pozostańcie z niemi, idźcie... Nie wydawajcie się z tem wcale, co w sercu mieć będziecie i myśli.

Ja, ścigam ich od dawna, krok w krok dążę za niemi, blizka jest, zdaje mi się chwila, gdy się rzucę na nich, wtedy kiedy się mnie najmniej będą spodziewali.

Jeżeli nie do walnej bitwy, której ja im wydawać nie myślę, przyjdzie do rzezi i pomsty!!

Gdy zawre... naówczas ty, bądź pogotowiu; napaćnijcie na nich wraz ze mną, z drugiej strony, a sprawim im łaźnię, iż noga ich nie ujdzie ztąd.

Zapłacą za krew ziemian moich i chłopków!

Król mówiąc to, zadrgał cały.



— Zapłacał!—powtórzył zimno i dobitnie—zapłacał! Wojewoda podniósł powoli oczy, w króla się wpa-trzył i głową dał znak przyzwolenia na myśl jego. Łoktek mówił dalej.

— Chcieli mnie zniszczeniem ziemi mojej przerazić i odstraszyć, okrucieństwem zmusić, abym im oddał na pastwę Pomorze, z czemś więcej jeszcze i pokłonił się... ale nie dopną czego chcieli. Ząb za ząb, będę i ja okrutnym, nie przebaczymy ani płaszczom bia-łym, ani złotym łańcuchom, ani panom gościom co na nas chrześcian jak na łowy przyjeżdżają.

Wstrząsnął się cały król, lecz natychmiast ostygąć począł.

— Chwila bliska—mówił dalej Łoktek patrząc na wojewodę zdumionego i jakby niedowierzającego...

— Ufam w Bogu moim, nie może on dopuścić, aby się bezkarnie pastwiono nad narodem chrześcijań-skim. Pomścimy krzywdy nasze, a tych żołdaków zgnieciemy...

Nie będziesz czekał długo, pewien jestem. Padnę na nich gdy o mnie wiedzieć nie będą... ani się spo-dziewać; ale ty, wojewodo, pomocą mi być musisz... w ich krwi zmażesz winę twoją.

Król zamilkł, wyciągając go na odpowiedź.

— Miłościwy panie — począł Wincz. — Bogdaj się wasze ziściło proroctwo... Niech się stanie jakoś rzekł... Lecz, lękam się ich przemocy, na rozdzielonych trze-ba wpaść.

Liczbą i zbroją przemagają nad nami. Jak tu się porwać na te kłody żelazne chodzące, od których na-sze strzały odpadają bezsilne... A tyle ich zwlokło się tu na łupieżę.

— Nie frasuj się—odparł król—wybrać godzinę, moja rzecz. Opatrzę ją, ale na główny oddział mu-szę się kusić, aby najdostojniejsi dowódcy głowy położyli... po ciurach mi nie... Ściągnę ich łatwo. Komturów i grafów ich łaknę—i będę ich miał...

Oni sami nauczyli mnie, że bez szpiegów wojny nie ma.

Znajdę ich w obozie, snują się koło niego, idą za nim... Patrzę i z oka ich nie puszczę.

Ty, czekaj gdy ja pocznę, a posłyszysz surmy nasze... rzucę się na obrzydłych siepaczy, życia nie dawać nikomu...

U mnie też garść jest żołnierza, który ich nie-mieckiemu nie ustąpi i tak okuty, a dzielniejszy, obro-tniejszy... Mam też Węgrów, co i Czechom nie zejda z pola...

Uśmiechnął się król...

— Chwili tylko muszę wypatrzeć.

Łoktek dokończywszy, patrzył jeszcze na milczą-cego. Obie ręce swe silne, żyłaste, namulane wycią-gnął ku niemu...

— Dajże mi słowo, Wincz, mnie i synowi.

Tu Kazimierz się zbliżył, rękę wyciągając także.

— Wojewodo — rzekł — zapomnijże raz i wróć do nas... Uratujmy Polskę... pomóż nam do tego... Prosi-my cię oba.

Wojewoda był poruszony, nisko skłonił głowę, obie ręce skrzyżował na piersiach.

— Uczynię jak rozkazuje — rzekł krótko. — Uczynię, tak mi dopomóż Boże. Zawiniłem, przeba-czyliście krewkości mej, niech Bóg wam to płaci... Jam wasz — wasz...

Rozrzewnienie w mowie czuć było. Złożył palce dwóch rąk na krzyż, wyciągnął je i jak znak krzyża ucałował, składając nań przysięgę...

— Tak mi pomóż i zbaw Boże!

Król wziął ze stoła stojący krzyżyk i okazując go, zawołał podniesionym głosem:

— Wincz, znasz mnie nie od dziś! Ja ci też po-przysięgam przebaczenie i łaskę moją zapewniam... Włos nie spadnie ci z głowy. Uratujesz koronę tę... Z tobą ja ich pokonam, wypędzę i krwawo zapiszą swój powrót...



Kazimierz przystąpił też żywo i wojewodę ścisnąć zaczął, który mu do nóg się pochylił.

Gdy w ten sposób umowa uroczyste zawartą została, król korzystając z czasu żywo rozpytywać począł o siły krzyżaków, o dalsze ich zamiary, dokąd ciągnąć myśleli: czy się mieli znów ku Kaliszowi zawrócić?

Wojewoda w niewielu rzeczach mógł króla objaśnić, bo to wiedział tylko, na co patrzył a zresztą Niemcy się przed nim taili i milezeli.

Miedzy wielkopolanami a Niemcami, chociaż razem szli, coraz mniej było porozumienia i zgody. Wojna, w której oni często napastowanych i krzywdzonych braci swych bronić usiłowali, coraz bardziej z obu stron rozjątrzała. Musiano czasami rozsuwać obozowiska aby, do krwawych zajęć nie przyszło.

Gorącej krwi Nałęcz często się burzyli, dobywali kordów, a Niemcy ufni w swą siłę, nacierali na nich kupami i starszyzna wdać się musiała; tak ich rozerwać było trudno.

Nie jeden trup w nocy z rozplataną głową leżał potem i znalazł się nad ranem pod polskimi lub niemieckimi namioty, co go ze dniem straża za nogi wywlekać musiały, aby nie widzieli wszyscy... Znikali ludzie a nienawiść rosła.

Marszałek, wedle opowiadania wojewody, coraz mniej miał dla niego względów, przyjmował go chłodno, niezapraszał nigdy, a gdy się wśród uczty zjawiał, okazywano mu, nie kryjąc się, jak go sobie wazono mało.

Ile razy zapytywał wojewoda o pochod dalszy lub chciał obronić swoją ziemię od najazdu, zbywano go szyderstwami i ogólnikami. Nie zwierzano mu nic, i nie słuchano w niczem.

Król słuchał tych skarg z pociechą wielką, widząc z nich, iż wielkopolanie na duchu byli przygotowani do odstąpienia krzyżaków. Skinienia tylko na to było potrzeba.

Wojewoda, który tejże nocy musiał do obozu powracać, zabrał się żegnać króla i królewicza, nie tak jak ich witał z obawą, ale po staremu do kolan im się zginając. Król ścisnął go, Kazimierz z uśmiechem ręce wyciągnął.

Wiedli go tak ku wyjściu.

— Nie zrywaj się sam—dodał Łoktek—nie wydawaj się z niczem, czekaj aż na nich uderzę, a posyłasz surmy moje... Znasz je, bo cię nieraz do boju wzywały. Nie grają one łagodnie, krzyczą, bo zemsty wołają!!

Marszałkowi kłaniaj się do chwili ostatniej, aby ci ufał...

Nie będziesz już czekał długo, mam ufność w Bogu, niech on cię szczęśliwie prowadzi.

Wojewoda wyszedł z namiotu jak upojony, odrodzony, oczyszczonym się czując, innym wcale, niż tu wchodził.

Powietrze do oddychania zdało mu się lżejszem.

O krok od progu czekała nań niespokojna żona, podszedł ku niej i objąwszy rękami całować począł z rozrzewnieniem wdzięcznem.

— Bóg płaci!—szepnął—tobiem to winien wierna moja, poczeiwa Halko... Stało się, jakoś ty u Boga wymodliła i dobrze się stało...

— Wracasz tam?—zapytała wojewodzina, widząc, że chciał iść i oczyma koni szukał.

— Muszę, natychmiast—rzekł krótko wojewoda.—Mam rozkazanie pańskie i tam najpotrzebniejszy jestem.

— A ja? — zapytała nieśmiało żona.

Wincz ręce opuścił—zamyślił się.

— Nie, teraz do naszego obozu wziąć cię nie mogę. Do domu wracać niebezpieczno... któż wie, jakiej zemsty i kto na mnie szukać zechce? Musisz tu zostać...

— Do klasztoru?—spytała Halka.

— Alboż ci psi klasztory szanują — wyrwało się



województwie. — Nie, zostań gdzieś była, połączmy się wkrótce, król ci opiekę da.

— Kto się opiekował tobą?... — spytał w końcu.

— Wielu dla mnie było pomocą, odparła wojewodzina, a najlepszym przyjacielem Florjan Szary ze Surdegi, ten co ma moją powinowatą za sobą.

— Szary? Ten u mnie bodaj w Pomorzanach od Hebdy posłem był? Tak-li? nie mówił o tem?

— On jest, on.

Wojewoda się obejrzał.

— Gdzież go szukać? — rzekł.

Wojewodzina zwróciła się, czując, że ten opiekun niedaleko być musiał, bo on ją z jednym z Nałęczów do męża wodził.

W istocie Florjan stał o kroków kilka. Wincz podszedł ku niemu, gdy go wskazała.

— Żonę wam w opiekę oddaję — odezwał się rękę doń wyciągając. Bóg da, kiedyś wszystko dobro odwdzięczę.

Florjan skłonił głowę, dając znać, że przyjmuje, co mu zwierzano.

— O wdzięczności to tam niema co mówić — odparł rażno. — Czyni się, co człowiek powinien nie dla niej, a dla miłości Bożej i ludzi.

Nie troskajcie się o panią waszą. Strzedz jej będziemy, a teraz chcecie-li być u siebie pod namiotem, nim Niemcy się pobudzą, jedźmy. Spieszyć trzeba.

Żona rzuciła się Winczowi na szyję i tak długo trzymała go w uścisku, aż się z niego na ponowne napomnienie Florjana sam wyrwać musiał.

Natychmiast we trzech siedli na świeże konie i kłusem popędzili ku lasowi. Nocy jeszcze stało dosyć na przebycie drogi przed porankiem, lecz do obozu ostrożnie się zbliżać było potrzeba, ażeby Niemcy wycieczki tej nie wyszpiewowali.

Szło teraz wojewodzie o to, aby najmniejszego nie ściągnąć podejrzania. Mściwy człek równie pragnął się odplacić za lekceważenie i pogardę krzyżakom,

jak wprzód na królu chciał mścić się upokorzenia swego. Dusza mu się radowała na tę myśl, iż dumnych mnichów rzezać i gniesć będzie bez litości.

Dla króla, który się tak łaskawym dlań okazał i przyjął go jak marnotrawnego syna, z miłością ojcowską, wdzięcznością pałał... Nie upokorzył go on, nie poniżył, przytulił owszem. Wszystko więc zatrzeć się mogło, a Dobek zuchwały miał się przekonać, że wojewoda Nałęczów nie zgubił i nie zbezcześcił.

Znowu przyszłość lepsza uśmiechała się wojewodzie, ale ciężkie jeszcze przejść musiał koleje, nimby dobił się do celu.

W tych myślach milcząc, przejechał las ze swemi towarzyszami. Wyjechali na równinę, wśród której zdala pod miastem obóz się rozpościerał.

Noc była jeszcze, lecz od strony wschodu niebo zaczynało przybierać tę barwę płową, która poprzedza świtanie. W dolinie ognisk jeszcze widać nie było, ruchu nie słychać, konie pasły się na łące, a ciury nadedniem spały mocniej jeszcze, tak, że przejeżdżający minęli ich niepostrzeżeni. Szary zatrzymał się tu i wojewodę pożegnał.

Dalej nie był mu już potrzebnym.

— Pomnij przyjacielu, com ci zwierzył — szepnął Wincz.

— Spokojni bądźcie, to sprawa sumienia — rzekł zawracając Florjan.

Wjazd do obozu, skutkiem pośpiechu i nieuwagi, nie obszedł się bez wypadku. Wojewoda zapędziwszy się trochę za daleko na prawo, zamiast wprost wjechać między swoich, znalazł się wśród krzyżackich namiotów. Straże około nich ospałe krążyły. Poskończył zaraz Niemiec i za uzdy konia mu pochwycił.

— *Wer da?*

Towarzysz wojewody i on sam poczęli po polsku łajać, co sprawę pogorszyło. Wszczęła się wrzawa, wojewody znać nie chciano, Niemiec uzdy konia jego nie puszczał i z mieczem się nań porywał. W na-



miotach pobudzili się inni i przybiegali. Otoczono ich kołem.

Cały niemal obóz zatrwożony się zrywał, a marszałek Teodoryk, który przededniem wstawał i już we zbroi był, nadbiegł z dwoma swemi kompanami.

Wojewoda zdala już począł doń wołać z wymówkami i skargą na jego strażę, że znać nie chcieli kto był.

Na twarzy Teodoryka widać było pewne zdumienie i nieufność.

— A gdzieście po nocy bywali?—odezwał się.

— Obóz przecież mój musiałem obejrzeć, aby się nieporządki nie działy. Ludzi mi co noc ubijają.

Marszałek podjechał ku niemu.

Zaczynało dzień zwolna, wpatrywał się w wojewodę, marszczył brwi.

Podjechali tak razem ku przodowi obozu, gdzie namiot czerwony stał i ludzie się już kręcili, a ogniska zapalały... Marszałek to milczał, to patrzył z natężeniem na Wincza i na konia jego, po którym poznać było można, iż nie małą objazdkę około obozu odbył, ale dość długim biegiem był shasany.

Przed namiotem zsiadłszy Teodoryk zaprosił do siebie wojewodę, który konia oddał i razem z nim wszedł do pustej teraz sali, w której tylko stół wczorajszy z obrusem pomietym i zastawionemi na nim kufami widać było. Marszałek względniejszy niż zwykle wprowadził do swej sypialni wojewodę.

Tu jeszcze lampka płonęła nocna przed obrazem złocistym matki Boskiej.

Usiedli.

— Musieliście po za obóz robić wycieczkę.—Spytał bystro nań spoglądając marszałek, bo koń wasz dobrze był zmęczony...

Wojewoda ramionami poruszył.

— Tak jest—rzekł on—nie mylicie się. Od wczoraj niespokojny byłem. Doniesiono mi o królu kra-

kowskim w bliskości, a jeżeli kto, to ja niespodzianej jego napaści się lękam...

— I mnie o nim donoszono—przerwał żywo Teodoryk — wiecie co więcej?

— Chciałem się lepiej wywiedzieć i rozpytać — mówił Wincz. — Wasi Niemcy z naszym ludem rady sobie nie dadzą, i z nich język nie dobry... Napłoszą chłopą, to im prawi, co ślina do ust przyniesie.

— Cóżście się dowiedzieli? — coraz niespokojniej badał Teodoryk.

— Przynajmniej wiem napewno—dokończył wojewoda—że tak prędko się niema czego obawiać. Ło-kieć zasłyszawszy o waszej sile rzucił się w stronę i ruszył w lasy. O wydaniu bitwy ani myśli.

Z wlepionemi w mówiącego oczyma, jakby był chciał zbadać go do głębi duszy, słuchał Teodoryk. Wincz spokojnie i powoli ciągnął dalej.

— Obawy nie ma żadnej, dlatego też jeździł aż do osady znanej mi w lesie, abym języka dostał.

— Ja—przerwał Teodoryk — radbym się wreszcie spotkał z nim — i pobił go, a gdyby się udało obu wziąć, bo słyszę i syn z nim jest razem.

Wincz głową poruszył.

— Czy syn jest z nim, niewiem — rzekł — ale że w bitwie nie będzie, to pewna. Choćby on chciał, ojciec go nie puści, osłania go i strzeże, bo to jedna rodu nadzieja.

Marszałek przeszedł się po namiocie.

— W którą się król udał stronę? — zapytał.

— Ludzie dobrze nie wiedzą, bo on ostrożny jest — mówił Wincz — lecz z pewnością zdala od nas trzymać się będzie. Siłę ma za małą, mierzyć się z nami nie chce.

— Dla tego jabym właśnie rad się spotkać — zakończył marszałek.

Rozmowa przerwana została wejściem Komtura Elbląskiego, który z ukosa na wojewodę spojrzawszy, coś szepnął Teodorykowi i oddalił się.



— Na waszych nieswornych ludzi są skargi nieustanne—odezwał się po wyjściu jego marszałek.

— Ja też skarżyć bym się powinien, ale że próżno pono domagać się u was sprawiedliwości, milczę — rzekł wojewoda. — Obchodźcie się z nami gorzej jak z najemnikami.

Teodoryk zwrócił się doń, słuchał i wpatrując się znów pilno.

— Z obu stron nam trudno—rzekł—utrzymać ład między żołnierzem, co dawniej bić się był nawykł z temi, z którymi dziś idzie razem.

Wojewoda westchnął i wstał, pokłonił się Teodorykowi, który długo za nim patrzył—i wyszedł.

W chwilę potem Komtur Elbląski powrócił powołany.

— Nocą jeździł za obóz—rzekł marszałek żywo—powiada, że śledził obroty Łoktka, że języka szukał... Podejrzana rzecz...

Komtur nie zdawał się dzielić tego przekonania i pogardliwie dodał.

— Nie może nie, choćby chciał...

— Zbiedz mi z ludźmi i skryć się w lasy gotów—odezwał się Teodoryk.—On jak on, ale jego żołnierz szmerze, kłótnie nieustanne, wiem, że zburzeni są bardzo.

— W najgorszym razie—odparł komtur—jeżeli się ruszą, otoczymy ich i łatwo się pozbędziem...

Marszałek głową począł okazywać, iż tego nie chciał.

— Wy wiecie—rzekł—króla Jana musimy poszanować i nie narażać mu się. Znaie go, ma rycerskie swe fantazyje, nie lubi, gdy na raz wiele ludzi pada ofiarą. Pamiętacie, jak nam kilka tysięcy pogan chrzcic kazał, gdyśmy ich w pień wyciąć chcieli. Zowie się królem polskim, gdybyśmy ten oddział, co się niby wojskiem zowie, byli zmuszeni...

— A!—odparł Elbląski—znacie króla Jana i mó-

wicie to? W najgorszym razie ofiarą grzywien zgodę byśmy przywrócili...

— I grzywien szkoda — odezwał się marszałek — musimy wykupić Pomorze, opłacać najemnego żołnierza, żywić i obdarzać gości.

— Skarbiec Zakonu dzięki Bogu! niepróżny — dodał Komtur.

— Na wojewodę każcie mieć oko — począł po chwili Teodoryk. — Nie wierzę mu, źle z oczów tego człowieka patrzy, a z tego co zyskał, rad być nie może...

Zlećcie obożnym, aby ich zawsze w pośrodek brali — zakończył marszałek — bezpieczniej tak będzie.

Rozeszli się, gdyż dzień począł być wielki.

Wojewoda w namiocie swym rzucił się na posłanie, choć myśli mu głowę opłotły ciężkie, mimowoli usnął twardo...

Krzyżacy nie ruszali dnia tego, bo i niewiedzieli, gdzie się zwrócić, spłądrowawszy już znaczną przestrzeń kraju. Celem ich teraz było, króla, o którym słyszeli ciągle, o którym im to tu, to owdzie opowiadano, spotkać i w walnej bitwie pokonać.

Szukali go, znaleźć nie mogąc, a czując, że szedł za nimi. Gdy o nim oznajmiono, zwracali się na wskazane okolice i zastawali tylko ślady obozu z pogasłymi ogniskami.

Dzień ten cały zszedł na wysyłaniu oddziałów w różne strony na zwiady, na wycieczkach po wsiach, które jeszcze ocalały.

Szalał najemnik krzyżacki w tak nielitościwy i barbarzyński sposób, iż historia zapisała tę wyprawę ich na nieszczęśliwą ziemię naszą krwawymi głoskami.

Komtur Elbląski, gdy przy zdobyciu Sieradzia, wchodził do miasta, wedle obyczaju nie przepuszczając nikomu, przeor zakonu dominikanów, który wprzódy w Elblągu był i znał dobrze niecnego Hermana, padł na kolana przed nim, błagając go, aby niewin-



nych ludzi mordować nie kazał, klasztor i kościół ich od grabieży ocalił, dokąd ludzi się wielu pod opiekę krzyża tuliło.

— Oszczędź domy Boże!—wołał ze łzami.

Komtur z konia spojrzał szyderczo na biednego mnicha i urągając mu się, krzyknął zepsutym językiem prusaków:

— *Ne prest!* (nierozumiem).

Wpadli potem na kościół i klasztor, który, poczynając od ołtarzy, złupili ze szczerem. Dominikanów w kościele odarto ze sukien do naga, kobiety i mężczyzn poobrażano, zabijano, pastwiono się.

Komtur patrzył na to, nie hamując wcale tłuszczy swej.

Można sobie wystawić, co się działo naówczas z polskim oddziałem, który na to patrzeć musiał i być tych zbrodni niejako współwinowajcą.

Z każdym też dniem rosła w Nałęczach nienawiść do krzyżaków i do wojewody, który ich wydał w te ręce, niewinną krwią skalane.

Wincz potrzebował choć isierkę nadziei dać swoim, aby mu się nie rozbiegali, gdyż codzień liczba się zmniejszała.

Myślał, w jaki sposób to mógł uczynić, gdy zbudziwszy się ze snu, ujrzał Włostka przed sobą, oznajmującego mu z obawą i wahaniem, że Dobka w obozie ujęto...

Nic lepiej na rękę nie mogło przypaść wojewodzie...

— Przywieść go do mnie — rzekł — a niech ludzie bardzo o tem nie głoszą...

Z dumą i obojętnością na los, jaki go mógł spotkać, Dobek, przyprowadzony, do namiotu wszedł i stanął milczący.

Po wczorajszej rozmowie wieczornej, mówić już nie miał co...

Gruchnęła wieść po obozie, że Dobka pochwyciono, gdy ludzi do ucieczki namawiał. Wielu i przyjaciół

jego kupić się zaczęło groźnie, lękając jakiegoś sądu i — okrucieństwa...

Mrucząc stali długo gromadą u namiotu, u którego Włostek straż odprawiał, nikogo nie chcąc dopuścić.

Co chwila spodziewano się rozmowie końca i ukazania się gniewnego wojewody... Tymczasem, Dobek pozostał z nim razem tak długo, iż przyjaciele jego w końcu znużeni oczekiwaniem, rozchodząc się zaczęli...

Późno już nad wieczór Dobek pokazał się znowu, swobodny, pomiędzy swemi. Spojrzeli nań, milczący był, lecz spokojny i niemal wesół.

Ci, którzy ochotę mieli razem z nim uchodzić, otoczyli go naciskając...

— Wiecie co?—odparł im—zamiast co wy ze mną byście iść mieli, namyśliłem się, zostanę z wami... Poczekamy...

Mnie się zda, że tu dożyjemy lepszego czasu.

Zdumieni patrzali nań—pomrukiwał jednym okiem.

— Już to wierzajcie mi — dodał — że ja na plewę się nie dam wziąć. Trzeba do czasu znosić tu biedę i upokorzenie, aby się nam one sowicie opłacily...

Rękę na piersiach położył.

— Zawierzcie mi—będzie lepiej... Czekać—hasło! Ja z wami. Macie zakładnika...

Chcieli go dopytywać, zamknął im usta.

— Gdy pora przyjdzie, będę gadał — rzekł — teraz nie czas...

I na tem się skończyło...

Nałęcz zbiegać przestali.



VI.

Szły zastępy krzyżackie po Kujawach jak błędne, szukając, coby jeszcze łupić i palić mogły...

Dawano im znać o Łoktku to z boku, to za nie-mi, to w pobliżu — to koło Radziejowa, to koło Brześcia.

Dwudziestego szóstego Września, jesiennym wieczorem, nadciągnął mistrz znużony i wojsko ocieżyła pod Blewo, małą osadą, Królewsczyznę, którą też Płowcami zwano, bo wieść niesła, że tam niegdyś Połowców w niewolę pobranych osadzono na królewskiej ziemi. Z jeńców tych zbiegła znaczniejsza część i kilka chat zaledwie leżało na równinie nagiej.

Marszałek Teodoryk, bacząc, że tu się wszystkie oddziały wygodnie położyć mogą, kazał przy Blewie obóz rozkładać.

Mila była tylko od miasteczka Radziejowa, gdzieby jego ludzie woleli byli stać, aby i osadę zaskoczyć i lepszy znaleźć przytułek. Tu w dzikim polu, gdzie nigdzie nawet drzewiny nie było, a i o wodę trudno dla tylu koni — szemrano na niewygodne legowisko.

Lecz z Teodorykiem się spierać nawet Wielki Komtur nie śmiał.

Zygard, Komtur Koprzywnicki, gdy się już rozkładać miano, syknął, obejrzawszy się i do marszałka pobiegł konno.

— Mamyż tu noc spędzić na tej pustyni, w nizinie mokrej... gdzie ani dobrej paszy, ani wody niema...?

— Staniemy tu, kaźcie rozbijać namioty — odparł marszałek zachmurzony. — Mam powody, dla których zebrać tu muszę nasze siły. Ottona z Luterberga

czekam i tych, co na Brześć poszli, nie trzeba się rozpraszać. Chociaż mi wojewoda ręczy, że król daleko i że o nas nie myśli a uchodzi — ja niezupełnie temu wierzę. Oddziały nasze porozdzielane... Tu się zgromadzić potrzeba.

Spojrzał marszałek na mówiącego i wejrzeniem tem pokazał mu, że rozkaz nie może być zmieniony. Zygard zamilkł.

— Zdaje mi się, że obawa co do króla krakowskiego próżna — odparł cicho, długo pomilczawszy. — Radby uniknąć spotkania, to jawna rzecz, a musi wiedzieć, że i król Jan nareszcie ciągnie, aby Poznań opanować. Nasi bracia pomęczeni, a tu im stać nie będzie spoczynkiem.

Teodoryk ramionami obojętnie poruszył i powtórzył:

— Dajcie rozkaz, aby się tu oddziały ściągały...

Nie mogło być już sporu o to; Zygard konie zawrócił i pojechał z wolna do swoich braci, którzy szemrali jak on na niewygodny nocleg w mokrej nizinie, nawet chrustu na ogniska nie mogącej im dostarczyć.

Starszyzna krzyżacka, bezkarnemi zagony po kraju polskim uzuchwalona, nigdzie dotąd nie spotykająca nieprzyjaciela, przestała już wierzyć w niego.

Opodał trochę od wielkiego namiotu, który pośpiesznie rozpinano, bijąc koły mające go utrzymać, na koniach stali Zygard Koprzywnicki, Herman Elbląski Komtur, Albert Ore Gdański, kilku gości znaczniejszych Komturów, kilku grałów, należących do Zakonu.

Składali oni kółko, nawykłe czasu tej wojny zabawiać się razem, ucztować, polować i panować nad ludźmi.

Herman Elbląski szczególnie był w chwilach szaleństwa żartobliwy i do okrucieństwa umiał mięszyć dowcip cyniczny.



Opowiadano o jego rozmaitych wykwintnych a przemyślnych sztukach w znęcaniu się nad pogany, bo co polskie, dla krzyżaków za pogańskie stało.

Kółko to dobrych druhów już nieco łowami na ludzi, paleniem i ścinaniem było znużone... Zapasy obozowe z Torunia wzięte na wyprawę wyczerpywały się, wino coraz było gorsze, przyprawa pigmentu coraz mniej korzenna, kuchnia coraz bardziej zaniedbana... Jesień miała poranki chłodne i dnie słotne. Kraj stał wielką wygorzałą pustynią, ludzi nawet dla zabawy nie spotykali, wszyscy więc za tem głosowali, aby z łatwem a zupełnem zwycięstwem powracać do Torunia.

Twarze większej części dostojnych tych panów zasępione były, Herman poziewał, nudziło mu się.

Przybywający Zygard mruczając, doniósł, iż Teodoryk upiera się stać pod tą lichą osadą.

Elbląski poruszył ramionami.

— Goniemy widmo jakieś — rzekł. — Królik ten mały niema najmniejszej ochoty spotkać się z naszymi włóczyniami — ani go widać, ani słyhać. Polski nasz pan Palatyn pierwszyby go zwąchał, bo się lęka dostać w jego ręce, a ten zaręcza i poprzysięga, iż w okolicy znowu go niema... po co my się jeszcze tu włóczemy.

Albert, komtur Gdański, figura bardzo dostojna, wielkiego rodu, wielkiej dumy — obejrzał się po równinie.

— Prawda, że tu miejsca dość, choćby na dwa razy tyle żołnierza, ile my go mamy — rzekł — ale stać w tym błocie nie jest rzeczą wielce przyjemną.

— Mistrz rzekł — skłaniając głowę trochę szydersko, ozwał się Zygart.

— Ani ognia prędko naniecić nie będzie z czego — rzekł Albert — ani wody czystej tu dostać...

— Niema innego sposobu, tylko — rzekł Elbląski — do tej wioski, która już pusta być musi, lub za

chwilę nią być powinna, stać i kazać te chałupy rozbierać...

Wioska w istocie widna w pewnem odaleniu, tak wyglądała nędznie, iż ledwie się z niej opalu było można spodziewać. Z wyjątkiem chaty sołtysa, reszta na pół siedziała w ziemi. Oddział krzyżacki już się tam kręcił, szukając ofiar, ale ludność zbiegła wcześniej. Dwóch bezsilnych starców znaleźli, jednego w lepiance na barlogu, drugiego na przyźbie siedzącego z tą obojętnością na śmierć, jaką późny wiek daje... Zabił jednego żołdak, wbiwszy mu w serce włócznię, drugiego na płocie uwiązano rozkrzyżowanego, aby dogorywał powoli.

Były to zwykłe igraszki żołdaków... Młodszy skarżyli się, że dla lepszej zabawy niewiast nie znaleźli... i dzieci...

Wieś była jak wymarła, ludzie w lesie, bydło i konie z niemi...

Kupka naszych dostojnych rycerzy stała jeszcze na małym wzgórku, czekając rozbicia namiotów, gdy w pewnem oddaleniu, polski oddział wojewody się ukazał, szukając tuż miejsca dla siebie... Był on przedmiotem ciągłego niemieckiego szyderstwa. Lżejszy uzbrojeniem, nieco rozprężony pochodami, mniej karny, stawiał się inaczej, choć mu na bucie nie zbywało. Wedle pojęć niemieckich, nie był to żołnierz, jakim go oni mieć chcieli. Przodem z otoczeniem swem dożyć strojno i lśniąco jechał wojewoda, u boku jego Dobek i Włostek.

Wincz, który przez czas dosyć długi miał oblicze osowiałe i smutne, teraz spoglądał raźnie, śmiało i czoło niósł do góry.

Zygard to postrzegł.

— Patrzcie no — szepnął — jak odżył polak, upewniwszy się, że się z królem nie spotka! Dopiero od dni niewiele w oczy patrzy śmieiej.

— Nie cierpię człowieka tego — odezwał się Elbląski — nie zawinił mi nic, ale jak dla psa, kota



sam zapach i kształt jest odrażliwy, tak dla mnie każdego polaka, tego zaś więcej, niż innych.

Rozśmieli się inni.

— I ja ich nie znoszę — dodał Gdański — barbarzyńcy są, a chrześcian udają, wolę już prusaków.

Wojsko polskie szło luźno, spoglądając na krzyżaków z ukosa. Milczano w szeregach, lecz było to jakieś znaczące i wymowne milenienie ludzi, zmuszających się do krycia tego, co się w duszy ich działo. Milczeli — ale twarze ich mówiły; ktokolwiek z nich sądził, że nie będzie postrzeżony, oczyma i usty okazywał wstręt, na widok Niemców, posunięty do wybuchu...

Starszyzna hamowała surowemi wejrzeniami i mało znaczącemi ruchami, nakazującemi milczenie...

Nie mając nic do czynienia, krzyżacy jakby przegląd sprawiali przechodzącego oddziału. Zwrócili się ku niemu twarzami, uśmiechali się, szeptali, pokazywali sobie palcami odartszych i mniej pozornych, u których często całej zbroi nie było i oręż bardzo lichy.

Komturowi Elbląskiemu, który twarz zawsze układając poważną, drwić lubił — zachciało się zaczepić Wincza, który unikał wejrzenia na stojących gromadką rycerzy.

Nie mógł wytrzymać i głosem tym, w którego powadze pozornej przebrzmiewało szyderstwo — zawołał.

— Pozdrawiam Palatyna.

Wincz skłonił głowę, bez odpowiedzi i chciał iść dalej.

— O króliku nie nie słyhać? — zagadnął Herman.

— Nie ma go — odparł wojewoda — możemy spać spokojnie.

— Nigdy on nam snu nie psuł — rozśmiał się Herman — lecz zawsze bezpieczniej jest wiedzieć, że nam nie przyjdzie dać — dzień dobry?

Słowa te wystosowane do wojewody, usłyszał

dobrze Wincz i zatrzymał się nieco. W oczach mu zaświecił ogień jakiś, błysk — niby także szyderski.

— Juścić tak potężne wojsko jak to, które marszałek wiedzie — rzekł — nie ma się co lękać tego krakowskiego panka, to pewne, jednakże ten człeczek czasem bywał szczęśliwy, a zawsze jest zrzeczny... Nie można go lekceważyć.

— Szczególniej wy, co go lepiej znacie — nie możecie, jak my, nie wiele się oń troszczyć — odparł Elbląski. — Myśmy o nim pochlebnego przekonania nie nabrali, uchodzić umie — to prawda...

— A w wojnie i to sztuka — odezwał się wojewoda.

— Nie wiele czci przynosząca — dodał komtur gdański.

Wojewoda spojrział dokoła i zagryzł usta.

Dotąd milczący stary zakonny rycerz Maks von Hohlburg, który osobistym mężtwem się wstawił — mruknął jakby mimowolnie.

— Nie chciałbym ja teraz się z nim potykać. Żołnierz dzielny i wódz przebiegły, a nasze rycerstwo znużone włóczęgą, dobywaniem miastek, prawdę rzec i łupieżą — ociężałe jest...

Zamknęto mu usta wnet, bo nie chciano, by wojewoda to usłyszał...

Wincz, którego część oddziału już przeciągnęła, powłókł się za nim.

— Co wy mówicie — ofuknął go Elbląski. — Nasz żołnierz znużony i znudzony — więcej zawsze wart od ich świeżego... Nigdy i w żadnym razie on nam nie straszny. Nigdy! Patrzyliście na ten oddział wojewody, tacy oni wszyscy... Lud jak lud, ale ani oręża, ani sztuki wojskowej nie mają.

Maks siwą brodę pogładził.

— Nie należy — dodał — nigdy przyjaciela lekceważyć.

Herman rozśmiał się i splunął.

— W jednym tylko razie straszni nam być mogą,



gdyby ich dziesięć razy tyle było co nas — Litwa, prusacy, oni, tylko kupą i nawałem złamać nas potrafią.

Maks — coś zamruczał, węża zakąsił, sprzeczać się nie chciał. — Dokoła ruch powstał ogromny, wibjano drągi, rozciągano sznury, ustawiano żłoby dla koni, wozy wyprzęgano. Oboźni biegali każdemu pułkowi,znaczając granice. Ciury z niezbyt odległej wsi wlokły już drzewo z chat, chrust i porozrębywane sprzęty na ognisko...

W tem postać się wśród obozu ukazała, która starszyny zwróciła uwagę. Był to żebrak z krzywą głową i złamanym grzbietem, który z trudnością podnosząc nieco oczy, rozglądał się w około i włókł nogami, idąc z ciężkością wielką.

Zkąd się on tu wziął i jak go puszczono bezkarnie, jak uszedł napaści i żołnierskiego okrucieństwa? trudno pojąć było, gdyż w sukni widać było, że do polskiego plemienia należał — a temu nie przebaczano. Kalectwo chyba może dawało mu bezkarnie tak błędzić.

Zdawał się nie lękać wcale tych obcych twarzy i mowy, i z nieświadomością niebezpieczeństwa ręką kiedy niekiedy wyciągał...

Staął — szukał czegoś oczyma... zobaczył namiot czerwony, którego ściany właśnie się rozwijały, a przy nim obok już wiała wetknięta w ziemię chorągiew zakonu. Skierował się w tę stronę, lecz powolnie bardzo.

— To Zbik — szepnął pocichu komtur Elbląski — innyby się tu nie odważył. Służę nam...

Popatrzyli nań.

Zbik ujrawszy marszałka, który z kompanami stał przed namiotem, podszedł ku niemu.

Jeden z towarzyszków Teodoryka, na dany przezeń znak, rzucił mu jałmużnę. Można się było domyślać z dala, iż słów kilka zamieniono pośpiesznie.

Żebrak mrucząc i ciągle głowę nosząc skrzywioną,

powłókł się na miejsce puste nieopodal, kłął na ziemi i z trudnością położył.

Namioty stały tak, że pomiędzy nimi małe uliczki pozostawiono. Jedna z nich wprost wiodła do oddziału polskiego, tak że żebrak mógł być przez nich widziany.

Ciemniało powoli, rycerze rozjeżdżali się z wolna każdy do swojego namiotu, aby zbroje złożyć i odetchnąć. Na żebraka nie patrzył nikt. Ciury zajęte były rozpalamiem ognia i gospodarstwem koło wozów,

Zbik poleżawszy na ziemi, podniósł się z wolna, ostrożnie, i na kiju sparłszy, iść zaczął. Zdawało się, że błdzi — lub niedowidzi, snuł się tu i owdzie — powracał. Jakby przypadkiem znalazł się w ciasnej uliczce i w niej zniknął.

Oboz polski dnia tego leżał na skraju; stanowił on piąty oddział wojska, którego oprócz niego cztery hufce były. Wojewoda wyznaczonego sobie bagnistego gruntu nie przyjął, z oboźnami się skłócił i nieco opodal położył, zgromiwszy ich, że w błocie ludzi kłaść nie będzie.

Mały namiot niepoczesny już był gotów, lecz wojewoda na tę noc nic z wozów zdejmować nie kazał, nie dla siebie nie znosić. Rzucono garść słomy dla niego.

Niecierpliwy był, ognia kłaść wzbronili, zbroi zdejmować zakazał, chodził, nie zdając się potrzebować spoczynku.

Dobek siedział tuż na siodle z konia zdjętem, Włostek snuł się ciągle, to do namiotów zaglądając, to do ludzi swych dochodząc... Wojewoda też w namiocie usiedzieć nie mogąc, nieustannie podnosił ściankę u wnijścia i wyglądał...

Zbik się tu przywłókł powoli, głowę nieco podniósł, wpatrywał długo i u namiotu przystanął.

Przysunął się tak blisko, iż gdy wojewoda znowu wyjrzał, oko w oko się z nim spotkał.

Znali się pewnie, gdyż ani wojewoda zbyt się nie



zadziwił, zobaczywszy go, ani on się uląkł groźnego oblicza pańskiego. Chwilę milczeli.

Wincz popatrzał się w dal i dał mu znak, by wszedł do namiotu.

Znalazłszy się tu Zbik z krzywego stał się prostym i głowa na karku znalazła w swem miejscu. Ręką się skłonił do kolar wojewodzie.

— Widział cię marszałek?—spytał Wincz.

— A jakże?—odparł Zbik—i jałmużnę mi dał—przecież ja mu służę.

To mówiąc, uśmiechnął się dziko.

— Ale komu ja służę dziś?—dodał—albo ja wiem. Służyłem wam, kazaliście mi służyć im, co dalej — albo wiem?

Wam winienem życie—was słucham.

Wlepił oczy w wojewodę.

— Marszałek pytał cię? — rzekł krótko i niecierpliwie Wincz.

— Pytał.

— Coś mu powiedział?

— Jakiście wczoraj przykazali — rzekł żebrak. — Słucham rozkazania, nie wiem komu służę...

Roześmiał się głupowato i powtórzył:

— Wam winienem życie, przysiągłem za to służyć.

Wlepił oczy w wojewodę, który pochylił się ku niemu.

— Jak daleko są?—spytał.

— Tuż, w lesie—rzekł żebrak.

— Straże postawili?

— A jakże... Nocą albo nad ranem przyjdzie mgła pewno — mówił Zbik obojętnym głosem — człowieka o krok dojrzeć nie będzie można.

— A ty drogę znajdziesz po ciemku?—spytał wojewoda.

— Ja? — roześmiał się swym głosem cienkim i piśkliwym żebrak.—Dokąd?

— Do nich...

— Nie wielkiego na to rozumu trzeba — rzekł że-

brak — jam tu swój pomiędzy Radziejowem a Brześciem.

Westchnął ciężko i natychmiast oczy podnosząc jak wierny pies, co czeka skinienia, wlepił je w wojewodę.

— Dokąd? panku! — spytał cicho. — Do nich? Zaraz?..

— Nocą, nie czekając dnia! rozumiesz.

— Z czem?

Wojewoda mu się nachylił do ucha.

— Z czem?—począł żywo i niecierpliwie, poruszając rękami.—Powiesz, teraz albo nigdy. Teraz, jutro... Część ich odeszła do Brześcia... część nie dociągnęła do noclegu. Ci co są, ociążali, ospali... a nie spodziewają się wcale...

Zbik słuchał tych słów z uwagą wielką, powtarzając je sobie po cichu, oczy wytrzeszczając, jakby wysiłek wielki czynił dla spamiętania wszystkiego.

Wojewoda raz jeszcze ponowił zlecenie.

— Jutro o świtaniu...

Zbik w rękę go pocałował i żywo natychmiast skurczył się, skrzywił, głowę przygiął, kaleką wysunął się z namiotu i zniknął.

Noc nadchodziła.

Jak przepowiedział żebrak, mgła gęsta zsuwać się zaczęła na ziemię, wilgotna, przejmująca, nasycona tą wonią właściwą, którą jesienne tumany z sobą przynoszą—nie wiadomo z ziemi ją biorąc, czy z obłoków...

Dymy porozpalanych ogni, przyciśnięte jej ciężarem padały też ku ziemi i rozsiadały się jak szare opony nad obozem.

Najmniejszy powiew wiatru nie poruszał tej atmosfery zsiadłej, mokrej, wygryzającej oczy, oddech uciśkającej.

Z obozu polskiego nie widać było Niemców, krzyżacy nie mogli też dostrzedz ludzi wojewody. Ztamtąd



od żołdaków niemieckich dolatywały okrzyki zwykle, dokoła wojewody cicho szło jak nigdy.

Wszystek lud siedział jakiś zachmurzony i niepokojny.

Wojewoda szepnął coś Dobkowi, ten powstał i skierował się ku namiotom starszyny Nałęczów.

Pod jednym siedzieli Remisz, Ogon, Żegota i wszyscy ci, których widzieliśmy już zniechęconych do wojewody. Teraz dziwna zgoda panowała w tem kółku. Z małej beczułki nalewali sobie każdy do swojego rogowego lub drewnianego, srebrnego lub mosiężnego kubka, popijali i szeptali cicho, jakby się lekali sami siebie.

Gdy zobaczyli wchodzącego Dobka, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Głową dał znak im jakiś.

— Pewno?—spytał Siłacz.

— Pewno!—rzekł Dobek.

Remisz zatarł ręce tak, jak gdyby ich do użycia natychmiast sposobił.

— Do kata! Noc dzisiejsza będzie długa! — zawołał.

— Byle się nasi nie pospali — odparł Klimsz.

— Żaden oka nie zmruży—tak, ręczę — szepnął Remisz—tożsamo co my, czują wszyscy. Ze skóryby powyłazili, tak im pilno.

Podniósł ręce do góry.

— Boże miłosierny! Boże mocny, Boże wielki — zawołał—dajże nam dożyć chwili tej—i... i...

Niedokończył.

— Byle król—rzekł Dobek—nie zawahał się tym razem. Bo ich już drugi raz jak tu nie złapiemy, a i mgła okrutna... nie zobaczą go, aż im na kark usiedzie.

Remisz zatarł ręce znowu.

— Powtórzcie no rozkazanie—odezwał się Ogon—co wojewoda mówi?

— Pogotowiu być—a poczynać nie śpieszyć, aż król sam znak da, padając na nich.

— A jeśli we mgłę na nas padnie pierwszych?—rzekł Remisz zakłopotany.

— Nie może to być, bo wie gdzie leżym i dla tego wojewoda w dolinie się nie chciał mieścić, choć mu tam wyznaczono.

— Tak mi Boże dopomóż—począł Remisz—życie bym dał, żebym mógł komturowi Elbląskiemu za Sie-radzki klasztor i kościół zapłacić.

Wzdrygnął się cały—milczeli inni.

Dobek spojrzął na młodego, w kącie na ziemi siedzącego Nałęcza i rzekł:

— Idź, od namiotu do namiotu, patrz co robią—napominaj by zbroi nikt się ściagnąć nie ważył, koni nie puszczać. Siodeł nie zdejmować.

— Nuż podpatrzą, żeśmy tak czujni? — zapytał Ogon.

— Dziś nie zobaczą nic—pilno im się wylęgać, a nie obawiają się niczego—rzekł Dobek.

— Postać jednak chwilę milczący.

— Kto z was trochę szwargocze, a o niemca się otrzeć nie boi?—zapytał.

Wstał drugi młokos, któremu się ledwie wąs sypał syn Remisza, którego paliła gorączka okrutna.

— Ja!—rzekł.

— Idź ku namiotowi marszałka i wielkiego komtura, otwórz oczy i patrz, co robią, czy piją dobrze, czy zbroje zdjęli, czy czeladź już napita... a wracaj!

Sando chwycił hełm i wysunął się.

Starsi siedzieli.

Oczekiwanie niecierpliwe chwile dłuży. Wieczór pełził na żółwiu... czas zdawał się nieprzeżyty. Patrzali na siebie, to jeden to drugi wstał, przeszedł się, usiadł, zerwał znowu i wzdychał. Uchylali zasłone wpatrując się w ciemności.

Noc była czarna, a dla mgły gęstej o krok ginęło wszystko.



W tej części obozu cisza śmierci, a dalej głuche szmery i wrzawa.

Czekano powrotu Sławka i Sanda.

Dobek spojrział na miecz swój wiszący u pasa, dobył go i przy lampce ostrza popróbował. Drudzy zobaczywszy to, rzucili się też do swoich.

Rzadko któremu wyrwało się słowo... szeptano nie wyrażnie.

— W obozie koguty nawet nie zapieją — rzekł Remisz — a w Blevie nie tylko koguta, ale i szczura niema! Jak tu człek pozna, gdy się ranek zbliży?

Pierwszy Sando powrócił, oczy mu się śmiały.

— U marszałka ucztuja na zabój — rzekł. — Dopiero siedli jeść, a wypili już dosyć. Słychać to z pieśni, bo póki trzeźwi, śpiewają pobożne, a już teraz poczęli — swawolne. Za każdą przyspiwką, bucha śmiech okrutny.

Spojrzeni po sobie wszyscy.

— A u innych spokojnie? — pytał Dobek.

— Wszędzie wesoło — odparł Sando.

— Im dłużej czuwać będą, tem na dzień lepiej zasną — dodał Remisz.

Wbiegł Sławek — zwrócono się ku niemu — ręką napród pokazał, że wszystko jest jak trzeba.

— Nikt się nawet nie rozpiął — rzekł — a wszystkim tak pilno, jak nam dnia doczekać.

Siedzą po namiotach i pod wozami, jak na czatach, każdy miecz trzymając w ręku.

Uśmiechnęli się ku sobie starsi.

— Jak się wam zda? — zapytał Remisz — jestli już północ?

— Kto go dziś wie — rozśmiał się Ogon — ja z doświadczenia to znam, że dni w życiu nierówne — gdy człek chce skrócić to się wyciągają, a gdy przydłużyć by rad — kurezą.

Zagładal do beczułki, aż ostatnią z niej kroplę wylał Klimcz. Remisz znalazł drugą w pogotowiu — lecz nie wszyscy godzili się, by zajrzeć do niej.

— Z mętą głową iść do boju niedobrze — odezwał się Dobek.

— Albo, albo — sprzeciwił się Remisz — czasem w boju trzeźwy nadto widzi, a lepiej ślepym być...

Poczęli nalewać potroszę, do ranka było daleko.

Ten i ów dobył suchego chleba i zawiędnętego mięsa, ale z rozmową nie szło, myśli wirowały około jednego — rychło-li przyjdzie ranek.

Co który odsłonił namiot, aby noc zobaczyć, to go wnet zapuszczał — ciemność była nieprzebita. Mgła gęstniała, choć ją nożem krajać.

Klimczowi się nudziło.

— Gdyby nam kto choć bajki powiadał — odezwał się.

— Tobysmy ich nie słuchali — odparł Dobek — we mnie jedno gada i ja to tylko słyszę — zemsta! zemsta...

— Jabym gotów w kości grać — rozśmiał się Klimcz — aby tę noc jak przebyć.

Ruszyli wszyscy, ale Remisz rękę na tarcicze, co za stół służyła, położył.

— Niech Bóg uchwala! — zawołał — rychlejby się modlić! a toć to uroczysty dzień, jak wigilja przed świętem.

— Prawda — odparł Ogon — kości na inny czas.

Uchylili drobinę namiotu. Ciemno było i cicho.

Nawet od obozu krzyżackiego nie dochodziło już nic, oprócz ruchu koni przy żłobach i szczekania psów, które Krzyżacy prowadzili z sobą.

Mileczenie zalegało w namiocie. Oczekiwanie długie odrętwiało... lecz każdy lękał się zamrużyć oka i ci co trochę opodal siedzieli, a mimowoli się zdrzemnęli, wstawali wnet, by się nie dać snem ujać.

To jeden to drugi zaglądał w podwórze nie widząc nic.

— Noc bo się chyba nigdy nie skończy — zawołał zrozpaczony Remisz. — Jakem żyw nawet koło Godów



takiej nocki nie pamiętam... Krzyżacy ją chyba dla siebie zrobili umyślnie.

Umilkł. Wszyscy ustawili uszy, Dobek szybko odgarnął opłotek u wnijścia. Zdala, gdzieś coś słychać było... niby stąpanie ciężkie w chmurach miękkich, niby stłumione toczenie się po ziemi.

Nie myliło ich ucho, w głębi tej nocy ruszało się coś, powolnie ostrożnie, daleko.

Ruch ten ustawał—milknął, ginął i wznawiał się. Poruszyli się starsi.

— Sławek, po namiotach! niech nie śpią, już coś słychać.

Sando i Sławek oba wybiegli. W odsłoniętym namiotu otworze, chyliły się głowy ciekawe — nasłuchując.

Głuche owo tętnienie wznawiało się, lecz dnia, ani brzasku, ani świtania na niebie widać nie było.

Noc nie miała końca.

## VII.

Dniało — lecz była noc jeszcze, z czarnych tylko ciemności się zmieniły na białe. W tej szarej oponie oko tak samo dojrzeć nie nie mogło, jak wprzód w czarnej nie nie widziało.

Dzień przychodził nie wiedzieć zkąd, a mgła zdawała się coraz zsiadlejszą, a chłód przejmował do kości, wilgoć oblewała wszystko — świat był mokry, jakby w wodzie zanurzony.

W polskim obozie zdawało się spać wszystko, lecz jedna powieka się nie zamknęła na chwilę.—Niemcy uciłowali długo i spali twardo.

Straże ich nawet posiadały na ziemi poobwiane w płaszcze i kamieniałe znużeniem.

Po nad namiotem marszałka wielka chorągiew zakonu, wisiała także jak uśpiona, obmokła... i znikł z niej ten krzyż, którym się urągała światu... Pokrajana w pasy czarne i białe, wydawała się żalobnym proporcem, zawieszonym nad grobem.

W dali ciągle coś słychać było... jak gdyby morze zbudzone szło zalewać ziemię... i huk ten stłumiony tak właśnie jak fale przestankami był przerywany.

Spali niemcy—oprócz Teodoryka, który przed obrazem N. Panny się modlił. Dwaj kompani stali u drzwi jego...

Wstał wreszcie z kłęcznika i płaszczyk narzuciwszy na ramiona, szedł przez pusty namiot wielki ku wnijściu. Ucho jego chwyciło ten szum fali... to toczenie się jakiegoś głuche.

Staął, wyprostował się i pobladł.

Odchylił wnijście — słuchał i oczy mu słupem stanęły.

W obozie o krok nie widać nie było, a na wpół mgłą obwinięte stráže najbliższe, siedziały jak skamieniałe...

Brwi mu się ściągnęły groźnie...

W tej chwili tentent powolny zaczął dochodzić tak wyraźnie, iż stojącego kompana za ramię pochwycił.

— Pobudka! — krzyknął — dzień! Śpi wszystko. Pobudkę uderzyć...

Wśród ciszy głos marszałka rozległ się głucho i stłumiony w powietrzu, które mu iść daleko nie dało—zgasł u progu.

Kompani biegli do straży.

W dolinie rżały konie i jakby szczękały oręże — zkąd? czyje? swoje czy obce? marszałek rozeznąć nie mógł.

Uczuł w sercu trwogę i przecucie jakiegoś—groźbę niebezpieczeństwa, w które nie wierzył dotąd.



Widmo Łoktka stało mu przed oczyma. Był niemal pewien, że on to nadciąga, korzystając z mgły i ociążałości ludzi jego, długimi po kraju bezbronnym łupieżami znużonych i wysiłonych.

— Na koń—zawołał chwytając za ramię w szarym płaszczu nadchodzącego pół-brata Krzyżackiego Jurgę—na koń i w czwał za Ottonem Luterburgiem, aby mi w pomoc pośpieszał.

Polacy nadciągają...

Jurga stanął zdumiony, gdyż nikt ich ani słyszał, ani widział. Przeczuli ich Teodoryk.

Jak stał na pół ledwie i lekko uzbrojony, pierwszego konia, który mu się nastręczył, pochwycił i dosiadł. Był to wierzchowiec jednego ze straży obozowej, śpiącego pod namiotem.

Marszałek skoczył na siodło, a to było znakiem dla dwóch jego kompanów, którzy nigdy go odstępować nie mieli prawa, by także konie porwawszy, zdążyli za nim.

Teodoryk popędził w tę stronę, z której go tent dochodził najwyraźniej. Dzień coraz był pozornie jaśniejszy, ale na ziemi osiadająca mgła biała, nie dawała nic widzieć o kilka kroków.

Przebił się marszałek przez namioty i wozy i odważnie puścił w dolinę. Tu stąpanie koni i chrzęst zbroi wyraźniej się słyszeć dawały; ale napróżno wzrok wyteżał... nigdzie żadnych przednich czat dostrzedz nie mógł.

Obawa o los oddziału, któryby bez niego stracił wodza, łatwo mógł się rozprzęgnać, nie dozwalała mu zbyt się posuwać daleko. Zwolnił kroku.

W tem z gęstej mgły, wynurzać się zaczęło kilku jeźdźców.

Zbrojni dobrze, w hełmach żelaznych, z lekkimi włóczniami w rękach, na koniach siatkami żelaznymi okrytych, posuwali się zwolna... na pół jeszcze mgłą okryci.

Dość było widoku ich dla marszałka, aby to co w nim jako przeczucie się objawiło — stało się dlań rzeczywistością.

Krakowski król podchodził do ich obozu!

Teodoryk zawrócił konia i pędem rzucił się na zad, a pierwszych namiotów dopadłszy, wołać począł głosem wielkim, rozpaczliwym:

— Na koń! na koń!..

Ludzie schwyceni wołaniem tem wśród snu, wybiegali nieodziani z namiotów, straciwszy przytomność, chwytając i rzucając, co napadli.

Starszyna rychłej zbudzona... uwijała się wśród obozu z podniesionymi mieczami, płazując opieszale, uderzając po namiotach—rozkazując trąbić i krzycząc:

— Do bronii! do konii!

Popłoch niewysłowiony w mgnieniu oka poruszył całym, przed chwilą jeszcze w głębokim śnie spoczywającym obozem...

Nieprzyjaciela widać jeszcze nie było, lecz czuli go na karkach wszyscy.

Teodoryk nie zsiadając z konia, biegał do koła.

Rozkazał łańcuchami żelaznymi opasać obozowisko swoje, które pierwsze natarcie wstrzymać mogły, by dać czas rycerstwu uzbroić się i stanąć w szeregach.

Żołnierz, który tak długo miał do czynienia z ludem bezbronnym i nabrał zuchwałości bezmiernej — chwycony niespodzianem niebezpieczeństwem, w części mu nie dowierzał, w części znalazł się w obec niego bezradnym...

Odwykl od boju...

Napaść nań, która się gotowała w łonie tych białych ciemności, miała w sobie coś zagadkowego, niezrozumiałego, strasznego tem, że się niedawała pochwycić, że nieprzyjaciół przychodził niepostrzeżony, i nie można go było obliczyć...

Część wojsk krzyżackich z najemuników złożona, jeszcze nie wytrzeźwiona po wczorajszym chmielu



wieczornym, nie wierzyła w popłoch... miała go za jakąś igraszkę lub wymysł...

Komturowie tylko, goście obcy, starszyzna z przytomnością umysłu większą, odziali się we zbroje i występowali w pośrodek obozu, nawołując do siebie żołnierzy, którzy z pośpiechu ledwie się uzbroić mogli.

Kupki składały się niejednolite, nie tak jak isę były nawykłe... Wrzawa obozowa nie dawała słyszeć nadciągającego nieprzyjaciela...

Komtur Elbląski i Gdański, którzy się wysunęli po za łańcuch już obóz opasujący w części — widzieli go — harcownicy polscy, wypadali z mgły ku obozowi... ukazywali się i znikali.

W małych przestankach cichszych, marszałek mógł pochwycić oddalone głosy surm polskich, przeraźliwe, dzikie — a śmiałe... zdające się uragać Krzyżakom...

Zuchwalstwo to, z jakim król tak długo unikający spotkania teraz sam do niego wyzywał, było dla Teodoryka upokarzającym.

Zwiastowało ono, że ostrożny Łoktek — musiał być pewien siebie i swej przewagi.

Taż sama myśl odjęła mężstwo komturom Hermanowi i Albertowi, ale natchnęła ich rozpaczliwym szaleństwem...

Czuli, że cześć a może i życie stracić mieli — chcieli je przynajmniej walką okrutną okupić. Herman co nie przebaczał nikomu, wiedział że mu nie przebaczą...

Zebraną garść prowadził ku opasującemu obozowi łańcuchowi.

Teodoryk objeżdżał do koła namioty i ludzi rozpierchłych stał tam, gdzie mu się pierwszy napad grozić zdawał...

Domyślał się Łoktka z jednej strony, od której naprzód turkot i surmy słyszeć się dały — objeżdżając w koło, przerażony został, widząc w innych częściach obozu przemykające z różnych stron polskie czaty.

Tu i tam surmy grały wyzywając...

Polacy więc bez mała otaczali do koła...

Wśród tego zamieszania, które panowało pomiędzy Niemcami, nikt ani pomyślał o polskich posiłkach wojewody... Gdyby Niemcy byli spojrzeli na tych sprzymierzeńców swoich, mogli by byli już teraz domyślać się w nich, jeśli nie zdrady, to umyślnej opieszałości.

Gdy tuż obok biegał żołdak niemiecki rozgorzały i nieprzytomny — wadząc się o broń i konie, aby co prędzej stać w gotowości do obrony; w polskim obozie milczenie i spokój panował...

Nie przestraszył się tu nikt. Zwolna wysuwały się już w pełnych zbrojach postacie blade, włócznie w ziemi utkwione powoli ściągając, konie opatrując i nie spiesząc do wystąpienia... Tu wszystko zdawało się być w gotowości i w lepszym niż zwykle porządku...

Spoglądano ku namiotkowi wojewody, który się nie ukazał.

Dobek z chustą białą na helmie zawiązaną, które sobie dla znaku pewnie, poczepiali i inni Nałęczę — snuł się bliżej niemieckiego stanowiska, ciesząc widokiem bezładu, jaki tu panował.

Sześciem dla wojewody, czy zapomniano o nim, czy tak nań mało rachowano — czy też nie miano czasu się troszczyć o Polaków, nie zajął tu nikt.

Łańcuch, którym się opasywali na przód Niemcy, z rozkazu marszałka, nie objął polskiego obozu, który po za jego obrębem pozostał.

Nieprzyjacieli dotąd zaledwie surmami zdala się oznajmujący, w chwili gdy połowa Krzyżaków nie była do boju gotową, a część znaczna błąkała się bezładnie, w jedne miejsca cisnąc tłumnie, długie pozostawiając bez obrony — nagle wystąpił z za zasłon, które go kryły i wszędzie wielkim lasem włóczni runął na rycerzy stojących u łańcucha.

Krzyżacy wytrzymali to uderzenie pierwsze, odpierając je ciężkimi włóczniami swojemi — kilku jeźdźców obaliło się z końmi, z jednej i z drugiej strony walka rozpoczęła się wściekła.



Teodoryk znajdujący się w pośrodku — widział już, że był zewsząd opasany, i że siłom tym, których policzyć nie mógł oprzeć się nie potrafi...

Z trwogą pomyślał, czy posłaniec po Chełmińską brać, wymknąć się zdołał, czy komtur mu ją na odsiecz przyprowadzi.

W tem była nadzieja cała...

Teraz dopiero, gdy już zbroje o miecze szczekać zaczęły i bój u łańcuchów wrzał zajądły — wzrok jego padł w tę stronę, gdzie stał oddział wojewody...

Przypomniawszy sobie swych sprzymierzeńców lekceważonych z radością, rachował bowiem, że Wincez ocalając głowę, bić się będzie rozpaczliwie.

Kroków kilkadziesiąt dzieliło go od tych namiotów — podbiegł ku nim... Łańcuch je od Niemców przedzielał. Za mgłą dostrzegł opróżnione już obozowisko, powywracane szalasy, poobalane wozy i w dali wojewodę na koniu, ludzi w szeregach, jakby tylko znaku oczekujących.

Zdumiało go to, że zamiast twarzami być zwróconymi ku nieprzyjacielowi, stali, włócznie na obóz niemiecki nastawiwszy, czołem przeciw niemu.

Marszałek chciał dać rozkaz jakiś... gdy wśród mgły ujrzał nadbiegającego konno rycerza z białą chustą w ręku, który wojewodzie wskazywał obóz krzyżacki...

Ziemia zatętniała i z okrzykiem dzikiej radości, z wybuchem szału, oddział wojewody puścił się z tej strony, która wolną jeszcze była od napaści... na obóz Krzyżaków.

Teodoryk stał chwilę zdrgnięty, patrząc na tę nową klęskę i uskoczył ku wielkiemu namiotowi...

Naprzeciw niego toczył się bój, jakiego dzisiejsze walki wyobrażenia dać nie mogą.

Dwie żelazne ściany naciskały jedna na drugą, łańcuch był dawno rozerwany, Polacy szli ściśnięci i opasywali broniących się z męstwem wielkim Krzyżaków...

Kruszyły się włócznie o zbroje, padali rycerze na ziemię, a który z nich runął z konia, o swej sile po-dnieść się niemógł, tratowano go...

Włócznie była najgłośniejszym orężem. Strzała rzadko trafiała w obnażone od zbroi całkiem ciało okrywającej części, miecz kruszył się na grubych blachach... Topory ciężkie i straszliwe cepy żelazne na łańcuchach umocowane tłukły o szyszaki i napierśniki.

Krzyżaków padało więcej zgniecionych ciężarem własnych zbroi, Polacy lżej zbrojni, rany odnosili częstsze... i więcej krwi przelewali...

Napad wojewody z tej strony, która przez niego bronioną być miała, zawyrokował o losach dnia tego. Lecz... nie łatwo mieli się poddać Krzyżacy... Cześć rycerska zdać się im nie pozwalała... walczyli, drogo sprzedając życie...

Taką wydawała się teraz walka ta widziana z obozu niemieckiego...

Inną weale była z polskiej strony... Zakon ważył może najlepszego żołnierza najemnego, król na szalę rzucał życie i królestwo swe...

Lecz królem tym był osiwiwały w bojach i mękach Łoktek, umysłu nieugiętego i wielkiej wiary w przeznaczenie i opiekę Bożą... Czuł się zesłanym dla ocalenia tej korony i ziemi...

Przededniem jeszcze wystąpił z lasów, wiedząc dobrze o położeniu nieprzyjaciela, o siłach jego, o oddaleniu się komtura Chełmińskiego... Wojsko szło w ciszy, osłonięte mgłami aż na kilkoro staj od obozu nieprzyjaciela.

Tu król wystąpił sam, zwołując przed siebie wojewodów i chorążych, którzy go kołem otoczyli.

Błądy był i wzruszony...

Dniem wprzód z obawy o los jedynaka, zmusił go do oddalenia się z Trepką, zakazał mu uczestniczyć w tym śmiertelnym boju.

— Ostatni to może raz pan Bóg mi dozwolił



stanać do bitwy z wami...—rzekł do swoich—niechże sromu nie poniosę!!

Nieprzyjaciel mocen jest, ale obciążony łupami i taborem, nie spodziewa się nas... Zwyciężym go...

Głos mu przerywał oddech przyspieszony. Spojrzał na wojewodów; wołając na nich po imieniu, chorążych do siebie pozwał, obiecując im wdzięczność swą.

— Ostatni raz ja z wami idę — powtórzył — ufajmy Bogu, a zwyciężymy...

Wszyscy się garnęli doń, przysięgając walczyć do upadłego.

Król tego dnia wdział starą swą doświadczoną, w mnogich miejscach pociętą i porąbaną zbroję, hełm zawarty — bez żadnych oznak, gdyż i tak wzrost go czynił do poznania łatwym, a nieprzyjaciela nań wyzywał.

Wojewoda krakowski zaczął wraz z innemi prosić go, aby na uboczu stał, do boju się nie mieszając — a im pozwolił zetrzeć się z nieprzyjacielem — lecz żadna siła w świecie starca powstrzymać nie mogła... Rwał się w pierwsze szeregi z niecierpliwością młodzieńczą.

Dodano mu do boku kilku, aby go przynajmniej osłaniali.

— Nie lękajcie się o mnie — rzekł do Hebdy — dali Bóg zwyciężyć będą cały — lecz jeżeli nas klęska spotka... nie chcę żywym zejść z pola!

To rzekłszy król z innemi rzucił się na obóz krzyżacki...

Łańcuchy, które go opasywały, przy pierwszym uderzeniu porwane zostały. — Polskie hufce wtargnęły do obozu, mieszały się tu Krzyżacy z Polakami, a gdy szeregi prysnęły, bój pojedynczy aż pod namioty i w środek obozu się rozciągnął.

Mgła długo nie dozwalała dojrzeć nic, oprócz niestających walk, konnych, pieszych, a wreszcie i leżących już na ziemi, a pasujących się i dławiących przeciwników...

Okolo pół dnia, gdy bój wrzał jeszcze ciągle — słońce przedarło się przez te opony szare... i straszliwy obraz odsłoniło oczom — samych walczących.

Pobojowisko trupami i rannymi było zasłane... w pośród nich, na nich ucierali się Krzyżacy jeszcze, wiedząc że ocalić się nie mogą, a poddać nie chcą jeszcze.

Marszałek zagrzewał resztki, zbierając rozpierzchnych, obiecując przybycie komtura Chelmińskiego i odsieczy.

Obok niego otoczony wybranymi z między rycerstwa, stał z chorągwią zakonu Iwan... wielkiej siły i męstwa żołnierz, któremu dla postawy tej i okazanych już odwagi na placu boju dowodów powierzono znanie najdroższe...

Wojewoda Wincz z Dobkiem, rzucili się na gromadkę i zewsząd ją opasawszy, nacisnęli tak, że to-porem rażony przez Dobka olbrzym padł, chorągiew na ziemię wlokąc z sobą.

Marszałek, który to ujrzał zdala, osłonił sobie oczy, ręka mu bezsilna opadła... Stał nie myśląc już o walce i nowy oddział, który na niego natarł, razem z kompaniami zabrał go w niewolę...

Nad wieczorem walka była tak jak skończona, a jednak król rycerstwu nie dawał złożyć broni, ani się położyć na pobojowisku. Był pewien, że za przybyciem wywołanych posiłków, bój się raz jeszcze rozpocznie...

Jeńców powiązano sznurami, zwleczono do namiotów otoczonych strażą. Wojsko nie otarło mieczów i nie dało koniom wytchnąć.

Posiłki w istocie pod wodzą Plauena, nadbiegły z pod Brześcia. Gdy je nadciągające ujrzano, już jeńcy byli pod strażą, a król gotów do nowego boju.

Bój to był w szczerym polu, ze świeżym żołnierzem, zemstą zagrzany, gdy król miał z sobą znużonych już całodzienną walką, ale zwycięstwem podniesionych na duchu.



W tem drugim spotkaniu ranny, lecz zagrzany tem, że mu dzień ten płacił się na każdym kroku szczęściem wielkiem, Florjan Szary, który był już trzech znakomitszych rycerzy niemieckich z koni zsadził i oddał w niewolę, rzucił się ze swemi kilku wprost na komtura wielkiego, Plauena.

Najdzielniejsi Krzyżacy bracia bronili ostatniego dowódcy—Szary z taką gwałtownością natarł na nich, wiedząc za sobą Sieradzian, iż trzy włócznie razem, strąciwszy zbroję lekką i już w boju zluźowaną, utkwily w nim.

Padł, nie wydawszy jęku, rozdarty straszliwie na pobojuwisku, w chwili, gdy ciągnący za nim rzucili się na Plauena i porwali go w niewolę.

Szary cały swój pochód ten odbywał na wiernym koniu siwym, który od dawna mu służył... Byli to towarzysze nierozłączeni i przyjaciele, koń znał głos, chód—czuł pana zdaleka... W pochodzie zdali się jednym jakimś centaurem, w którym dusza i myśl obu była wspólną.

Gdy Florjan zakrwawiony padł, oburącz chwytając rozdarte ciało, z którego wychodziły jelita...—koń stanął nad nim, kopytami wrył się w ziemię i pokrył go sobą. Uchronił go od stratowania i zgniecenia, którego ofiarą padało drugie tyle ludzi co zabitych mieczem i toporem.

Szary wychowany był i zahartowany jak na rycerza przystało. Każdej chwili gotów umrzeć, każdej godziny gotów cierpieć, czując życie w sobie wspomniawszy na dom, żonę, dzieci—oburącz nacisnął wnętrzności i pozostał pod koniem, wśród dokoła wrzącego boju, czekając, co zrządzi Opatrzność.

On, ludzki swój i rycerski spełnił obowiązek do końca, teraz musiała wystąpić ta opieka Boża, która rozporządza żywotem i przeznaczeniem człowieka.

W duszy swej westchnął do Boga.

Miał-li być ocalonym — z wyroku jego, potrzeba było mężnie doczekać chwili, w której mógł nadejść

ratunek, przeznaczonem mu było umierać?—powinien był z mężstwem dotrwać do zgonu.

Koń stał nad nim ciągle, innym wyrwującym się i cwałującym po pobojuwisku, a napadającym na niego broniąc się i osłaniając pana.

Florjan nie widział już, co się działo w koło niego, słyszał tylko zwycięzkie swoich okrzyki... Krew z ran płynęła obficie, ręce w niej obie zbroczone czuł jak ukropem oblane, nie mógł ich odjąć na chwilę, gdyż poszarpane ciało razem z krwią wyrzuciłoby było wnętrzności.

Pot występował mu na czoło, modlił się spokojnie. Rachował rychło-li ratunek jaki zjawić się może, ażali mu na tak długo sił stanie.

Mdłości chwilami jakby obłokiem osłaniały mu oczy, lecz wielka siła woli zwyciężała je — otrząsał się męczarni tej... spartańską siłą—siłą męczenników tych, których w życie potęgowała wiara.

Przed oczyma stał mu jego dom, rodzina, ojciec stary... i ten sąsiad straszny, którego pastwą stać się mieli najdrożsi, gdyby on już tam powrócić nie mógł.

Nie stracił jeszcze nadziei... Krew upływała wprawdzie, lecz silne dłonie trzymały rozdarte rany spojone... Ręką wpychał jelita i czekał...

Bój się zdał oddalać od niego... zbliżył raz znowu, odbiegł i cisza nastąpiła dla niego prawie od walki straszniejsza...

Koń z głową spuszczoną wachając wyciągnięte jego nogi, to stał spokojny, to rzeniem niecierpliwem wołać się zdawał na pomoc ludzi...

O ile dojrzeć mógł Szary... żywego do koła nie było już nikogo. Na wpół w ziemię wbity leżał przy nim Krzyżak własną zbroją zgnieciony, z głową obnażoną, z której hełm spadł, ze znakiem podkowy końskiej na czaszcze i czole strzaskanem. Dalej nieco koń dogorywający napróżno usiłował się zerwać na



nogi, przednimi kopytami rył ziemię, do pół się dźwigał i opadał.

Dalej widać było pogruchotane włócznie z ostremi drzazgi sterzącymi do góry, połamany oręż, kupy błota, w których już ciała startych na miazgę rozeznąć nie było można... Mrok wieczora powoli zstępował na pobożowisko, do którego zdala, z miejsca, gdzie obóz był Krzyżacki — dochodził gwar i okrzyki zwyciężkie...

Szary czuł, że król otrzymał pole, że tam bracia jego weselili się ocaloną cześć rycerską...

Wśród szumu i śmiechów nagle cisza się stała.

W tem głos jeden jakiś począł pieśń kościelną, Ciebie Boga chwalemy i ogromnym chórem wszystko, co żyło powiodło za nim...

Szary miał na oczach łzy...

— Gdyby zginąć przyszło — myślał w duchu — krew nie darmo przelałem. Stań się wola Twoja.

Ręce mu drętwiały, siły się wyczerpywały.

Miałżeby nikt nie zająć na pobożowisko??

Noc nadchodziła...

Szary wiedział o tym zwyczaju wojskowym, iż ciury obozowe trupom długo nie odartym, leżeć nie dopuszczały, spiesząc do łupu... Często po nocy z pochodniami spieszyli pochwycić, co im bóg zostawił po sobie...

Pieśń przebrzmiała... wrzawa nastąpiła po niej, przestanki ciszy, krzyki, wołania i oklaski...

Lecz słuch jego tępiał... oczy coraz widziały mniej, czuł, że koń stojący nad nim drży i słać się... Rżał coraz słabiej, coraz rzadziej, ruszył się w końcu ostrożnie, zszedł o krok, głowę spuścił, nozdrzami dotykając jego twarzy...

Zdawał się patrzeć czy żyje... Florjan słabym głosem zawołał go jak zwykle... Siwy drgnął, ale i jego opuściły już siły — zwolna legł przy panu...

Nadzieja zaczęła słabnąć w sercu Szarego... Czuł że nie wydoła długo, że dłonie zmartwiały ran nie

utrzymają, i życie wyniosą z sobą wnętrzości... Po-tem zimnym oblewało się czoło.

Modlił się, duszę polecając Bogu... Zamknął oczy.

W tem koń zerwał się na nogi, wyciągnął szyję i rozpaczliwie zarżał. Zdało mu się, że usłyszał ludzkie głosy... że mignęły światła, że ziemia tętniała chodem ludzi, biegiem koni...

Otworzył zwolna osłabłe powieki...

Nad nim stał z jasną twarzą, otoczoną blaskiem nadziemskim król w swej zbroi potłuczonej i płaszczu szarym... patrzył na niego...

Obok w sukni księżej podeszłych lat mężczyzna... Dalej kupka ludzi...

— Mój Boże — co on za straszną mękę ponosi.

Głos ten życie przywrócił Szaremu, zebrał się na sił ostatek... i z uśmiechem męczeńskim odparł słabym głosem...

— Miłościwy panie... Sroższa daleko męka znosić pod bokiem złego sąsiada, jakiego ja miałem i mam!

Król postąpił krok bliżej. Stał przy nim Hebda i zawołał.

— A to mój Florjan z Surdegil

— Bądź dobrej myśli — odezwał się król — jeżeli się z tych ran wyleczysz, ja cię uwolnię od złego sąsiada...

Hebda natychmiast na nosze go ludziom wziąć przykazał i do obozu nieść, gdzie królewski lekarz miał rany opatrzyć i obwiązać.

Florjan dotrwawszy do tej chwili, więcej mocą ducha niż ciała, gdy uczuł się już pod opieką — omdlał...

Miał zaledwie czas, czując się opadającym na siłach, zawołać ku wojewodzie.

— Siwego mego zabierzcie!!



VIII.

Nocy tej nikt na pobojowisku nie zasnął, oprócz tych, co już nigdy wstać nie mieli.

Tam, gdzie niedawno był obóz Krzyżacki, rozbito namiot dla króla, gdzie powiewała wielka chorągiew zakonu z czarnym krzyżem i orłem, wiatr unosił czerwony proporzec królewski z orłem białym...

Na placu jak zajrzeć leżały trupy w części już obnażone, częścią w zbrojach i szatach, zmieszane razem z końmi, potłuczonymi wozy, połamaną bronią.

Gdy ostatnia walka z Plaunem, wziętym do niewoli, skończyła się rozpadnięciem jego ludzi, którzy w nieładzie pierzchnęli, spędzono do gromady wszystkiego niewolnika wziętego rano i wieczorem; rycerzy, knechtów, co tylko poddało się lub żywo pochwycone być mogło...

Tłum to był, w którym najdostojniejsi mieszały się z najlichszymi, usiłując ocalić, małemi czyniąc.

Lecz po resztkach zbroi, po twarzach i postawach, łatwo było rozeznąć dowódców, resztki białych płaszczyw poszarpanych zdradzały ich...

Pięćdziesięciu sześciu rycerzy dostało się w ręce Polaków, około czterechset legło na placu.

Tłum który otaczał niewolnika, warczał groźnie... Nie chciano im przebaczyć, wołano o pomstę za swoich... Niektórzy rzucali się na bezbronných, tak, że straż ledwie do przybycia króla, osłonić ich mogły...

Gdy Łoktek zsiadł z konia i spojrzał na powiązanych sznurami nieprzyjaciół swych, między którymi znajdował się i Marszałek Teodoryk, z chłodną rezygnacją oczekujący śmierci, komtur Elbląski Herman, blady jak trup, Albert komtur Gdański, wielki komtur Otto von Bonsdorf i na osta-

tku wzięty Russ von Plauen, zmierzył ich oczyma zaiskrzonymi, słowa nie mówiąc.

Najzuchwalsi z nich, obawiali się rozjątrzonego tłumu, lecz za przybyciem króla pewni byli, iż się Krakowski pan, nie będzie śmiał ważyć, mściwego zakonu rozdrażniać, na śmierć ich skazując... Z wejrzeń ich widać to było. Herman dumniej podnosił głowę, Albert śmiało naciskający tłum odpychał.

Lecz Wielkopoleanie, którzy byli świadkami, jak nieludzko się pastwili Krzyżacy nad bezbronnymi, po kościołach lżąc niewiasty, odzierając kapłanów, mordując starców u ołtarzów, pod których opiekę się schronili.—Wielkopoleanie zbiegli się kupą, najzajadlej domagając nie zemsty, ale słusznego ukarania.

Łoktek właśnie Marszałka Teodoryka, którego mu wskazał nadchodzący Wincz, kazał oddzielić i pod straż oddać osobną, gdy Remisz z głową pokrwawioną przypadł do niego, uląkłszy się, aby i innym nie darowano życia.

— Miłościwy panie!—począł wykrzykiwać—miłościwy panie, posłuchajcie nas, myśmy najlepsze świadki.

Król wskazując na Niemców, zapytał.

— Co to są za ludzie?

— My wam powiemy, miłościwy panie, co to są za ludzie — zawołał Remisz... — Zbójcy są, okrutnicy, co ani krzyża na kościołach, ani niewiast, ni starców, ni kapłanów nie szanowali.

Wskazał na Elbląskiego Hermana...

— Oto kat... co dzieci kazał mordować, a klęczącemu przed nim przeorowi Dominikanów szyderstwem odpowiedział na błaganie...

— Herman, w którym obawa o życie, dumę zła-mała, odparł podniesionym głosem, siląc się na lada-jaką polszczyznę, do króla.

— Wy najlepiej wiecie, wodzem będąc, czy on od-powiada za żołnierskie zbytki...



Słyszając to Remisz przypadł doń z pięściami i rzucał mu w twarz.

— *Ne prest!* niemce przeklęty, *ne prest!*

Za nim Wielkopolanie wszyscy wykrzykiwać zaczęli.

— Śmierć im wszystkim! śmierć!

— Po rycersku od miecza, zbójce ginać nie są warci — krzyczał Remisz — postronkami ich, na postronki...

Zaledwie słów tych dokończył, a król nie miał czasu jeszcze odpowiedzieć ni powstrzymać, gdy tłum rzucił się lawą na krzyżackich jeńców i sznury im zarzucając na szyję, dusić począł.

Jeden z pierwszych, padł komtur Elbląski, którego ciało wywleczono precz, odarłszy ze zbroi. Za nim poszli inni. Ze starszyzny nie oszczędzono nikogo. Wściekłość była niewysłowna.

Król ani zapobiedz nie mogąc temu zemsty wybuchowi, ani chcąc nań patrzeć, wszedł do swojego namiotu.

Ogromny łup z obozu Marszałka ściągano teraz zewsząd, na kupy go zrzucając przed namiotem królewskim...

Noc zeszła na obrachowywaniu strat w ludziach i obmyśliwaniu skutecznego oporu zakonowi, o którego mściwem wystąpieniu, jak skoro wieść dojdzie do Malborka o klęsce, nie wątpiono...

Leżeć tu długo stary król nie miał ochoty, ni czasu; donoszono mu, że król Jan czeski z siłą dość znaczną ciągnął na Poznań. Nie był on teraz tak strasznym, gdyż spodziewał się poparcia Krzyżaków, którego mu mało zabraknąć.

Łokietek ciągnąć chciał przeciwko niemu z niecierpliwością młodzieńczą, pewien zwycięstwa. Poznań mu dać nie godziło się...

Nazajutrz jednak wyciągnąć z pobojuwiska pod Płowcami, nie było można; król musiał swoje pułki na nowo pościagać, łup odesłać; śpieszył posłów z radosną nowiną o zwycięstwie wyprawić do żony i syna...

Ranek upłynął na tych zachodach i przygotowaniach.

Było już około południa, gdy na gościńcu od Brześcia Kujawskiego pokazał się mały poczet konny, zwolna zmierzający ku namiotowi króla. Na czele jego powoli jechał mężczyzna wiekiem pochylony, siwy, z różańcem w ręku, w czapce futrzanej na głowie, z krzyżem na piersi.

Rozpoczęta modlitwa na wargach mu skołała, i oczy wlepione miał w smutny widok pobojuwiska, na którym obnażone, sine... podarte, leżały ciała zabitych.

Noc, w czasie której ciury nie próżnowały — już wszystkie te trupy odarła z sukni, stada kruków ulatywały nad niemi, to spuszczać się na pole, to ulatując i krążąc spłoszone...

Od lasów... sunęły jakby cienie, ukazujące się i niknące w kotlinach... psy czy wilcy?

Starzec jechał, spoglądał i lzy stawały mu na oczach... Nie wiedział nawet, gdy koń go zaniósł przed namiot królewski i stanął przed nim...

Starcem tym był Matjasz, biskup Kujawski.

Łoktek w szarej swej opończy wyszedł przeciw niemu...

Spojrzał na biskupa, uśmiechając się — lecz starczyło tego wejrzenia, by się przekonał, że starzec nie z radością zwycięstwa tu przybywał, lecz z boleścią nad tylą ludzkimi żywotami, którem ono opłacone było.

Król widział w tem tryumf, duchowny płakał nad ofiarami...

Matjasz skłonił głowę sędziwą przed witającym go panem.

— Widzicie — ozwał się król — Bóg to zrządził. On mi dał nad dumnym wrogiem zwycięstwo, chwala niech mu będzie na wieki, iż się ulitował nademną...



— Ten sam Bóg—odezwał się biskup spokojnie— sprowadził mnie tu, miłościwy panie, abym ja, sługa jego, spełnił chrześcijański obowiązek — wrogom zarówno i swoim należy pogrzeb i modlitwa...

Dozwól mi, abym ciała te pogrześć mógł—a okazał nieprzyjaciółom, iż chrześcijanami jesteśmy i obowiązki nasze pełniemy...

Król milcząc skłonił głowę...

— Poniosłem i ja straty dotkliwe—odparł. — Zginął mój wierny Żegota z Morawicy, niema Krystyana z Ostrowa, Prandoty i Jakóba z Szumska... brnili moich cherągwi i położyli głowy...

Biskup ze smutkiem spoglądał na obnażone trupy wymordowanych Krzyżaków, na których szyjach postronki jeszcze zastrzegły... które ich poduszono.

— Bogdajbyśmy za to drogo i długo nie musieli płacić! — odezwał się — możni są, mocni są, a mściwi i okrutni!

Pozostał kto żyw z wodzów ich?—spytał cicho.

Łokietek z niechęcią wymówił Marszałka imię.

— Jednego jego ocalić mogłem — rzekł — resztę ci wymordowali, którzy na ich niecne morderstwa patrzali.

Biskup natychmiast z konia zsiadłszy, z gromadką swoich ludzi i dodaną mu służbą obozową, poszedł dozorując, aby ciała zebrano i kopano mogiły...

Nad ranem z lasów nadciągnął na pobojuwisko pozostawiony w nich obóz królewski. Z nim razem przybyła żona wojewody, która z sercem zboleła, poszła szukać męża...

Wojewoda na uboczu stał ze swemi... Wszystek lud jego ochoczo się mieszał z królewskim, on jeden pozostał odosobniony... W twarzy jego nie tyle widać było radości, co niepokoju...

Pomiędzy wojskiem króla, znajdowało się niemało ziemian, których majątności zniszczyli Krzyżacy... Winę spustoszenia tego przypisywano wojewodzie. Jego też i Nałęczów, choć się teraz przyłączyli do

Łoktka, nie bardzo uprzejmie witano... Wielu się odwracało z pogróżkami i opryskliwym łajaniem.

Nałęcz, radzi nie radzi, wskazywali na Wincza...

Przebaczone mu było—lecz ci, co ucierpieli, stracił swoich darować nie mogli.

Wincz też po pierwszym z królem spotkaniu, napastowany pół słowy i wejrzeniami, poszedł z gorzkim uczuciem schronić się do swojego namiotu i siedział, bolejąc nad tem, że się przeszłość zatrzeć nie dała...

Tu zastała go żona nie jakby zwycięzko wyszedł z walki, lecz niemal jako pobitego i upokorzonego...

W mileczeniu uściśnął ją.—Czytała z twarzy męża, iż cierpiał.

— Nie dano mi było zginąć—odezwał się—choć pragnąłem śmierci... Ciężkie będzie życie moje...

— Wszystko przebaczone — przerwała Halka — król łaskaw.

Wojewoda wskazał po za namiot, na kupy, które się snuły.

— A kto *im* pamięć odejmie? — rzekł—ci mi nie przebaczą... Król — dodał po przestanku — ciągnie ku Poznaniowi, odstać od niego nie mogę, pójdę i ja... Ale tam — poproszę, by mi ciężar z ramion zdjął... Nie chcę dowództwa — pragnę spokoju... Siądziemy na wsi...

Halka pocieszać się go starała, lecz czoło zostało nawisłe chmurami. On sam sobie przebaczyć nie mógł.

Florjan Szary za staraniem Hebdy złożony w jego namiocie, opatrzony przez kanonika Wacława, w strasznej gorączce marzył o pobojuwisku...

Pamiętna opieki, jaką miał nad nią, Halka natychmiast szukać go poszła, dowiedziawszy się o ranach okrutnych, jakie mu zadano.

Ksiądz Wacław powiadał o nim, iż mógł się wyleczyć z nich, lecz długiego potrzeba było czasu i starania, nimby życie za ocalone uważać można, Król



sam pamiętny tego słowa, które na pobojuwisku od mężnego rycerza usłyszał, zalecał pieczę mieć nad nim.

Prosto z pod Płowców, Łoktek nie tracąc czasu, wraz z wojewodą ciągnąć musiał do Poznania, aby Czechów uprzędzić...

Biskup Matjasz, litościw nad umarłemi, dla rannych też miał serce ojcowskie, Florjanowi i innym ciężko okaleczonym, których rany spokoju i ducha bezpiecznego potrzebowały, ofiarował schronienie we dworze swym w Brześciu Kujawskim. Tu łatwo ich nawet na noszach przenieść było...

Wojewodzina, która czekać musiała z powrotem do domu, aż by się wojna z Poznańskiem skończyła, schronić się miała z woli męża do Brześcia.

Tak więc Szary, który wprzód nią się opiekował, zyskał teraz w niej opiekunkę troskliwą.

Brześć i Radziejów napelniły się rannemi, których liczba znaczną była.

Po pierwszym opatrzeniu ran przez kanonika Wacława i po przebyciu gorączki a niemocy, jaka nastąpiła po niej, Szary, przeciwko wszelkim lekarskim przepowiedniom, w dziwny sposób szybko do zdrowia przychodzić począł.

Obietnica króla, w której spełnienie święcie wierzył; niecierpliwość powrotu do domu, zobaczenia żony, dzieci, ojca, dawały mu siłę cudowną, która z każdym dniem rosła.

W izbie dworca biskupiego, leżało ich trzech poranbanych, których wojewodzina odwiedzała codziennie. Jeden z nich, Starża, młody był i rękę tylko miał przeciętą, silny i zdrów, przecież rany mu się jęczyły i cierpiał więcej, niż Szary.—Drugi w wieku Florjana, ze zgniecionemi nogami, żyć sobie obiecywał, lecz na koń już się nie spodziewał się nigdy.

Szary, choć tak straszliwie poszarpany, wierzył w to mocno, że byle zszyte rany się zrosły, zdrów musi być...

Codzień prawie tęskniło mu się tak za domem, a niepokój go ogarniał o sąsiada tak wielki, iż by się był zerwał i jechał na wozie, byle do swoich.

Nie puszczano go.

Biskup Matjasz, co grzebał umarłych, przychodził do nich codzień i uczył cierpliwości.

— Ojcie mój — mówił Florjan całując go w rękę — ja dla siebiebym cierpliwość miał, ale dla żony i dzieci, dla starego ojca, których tam porzuciłem na łasce Bożej i rodziny mej, trudno mi tu ścierpieć... Na woziebym się dowlóknął...

— Drogi zło, zimno okrutne... rany nie zgojone — mówił biskup. — Czekajcie...

Wojewodzina, przed którą bolał i skarżył się Szary, w ostatku się jego niepokojowi ulitowała.

Miała wóz i woźniki dobre, ludzi poddostatkiem; sama tu zmuszona siedzieć, tęskniła wielce. Gdy Szary począł, obwiązany cały, poruszać się i wstawać na gwałt, aby siłę swą pokazać, rzekła dnia jednego.

— Niema z wami rady, jeżeli ks. Wacław dozwoli, odwiezę was żonie.

Gdyby był mógł Szary paść jej do nóg! lecz z łóżka mu się ciężko podjąć było. Ręce jej tylko ucałował.

Tegoż dnia kanonik rany opatrzył i na nalegania odpowiedział, jak to lekarze i duchowni zwykli, groźnem słowem a szorstko.

— Chcesz się koniecznie zgubić, trudno ci zabronić — rzekł — zamiast pociechy żonie i dzieciom smutek sprawisz... Czekaj aż powiem... Nie zatrzymam dnia jednego, gdy ujrzę, że podróż znieść możesz.

Florjan zmilczał, ale w oczy księdzu patrzył co dnia, a ten się uśmiechał.

Jednego dnia wreszcie, ręką rzucił, gdy wojewodzina go spytała po cichu i — dał do zrozumienia, że jechać z biedy było można...

Wysłano tedy najlepszy wóz, okryto go kabłąkami



i skórą, przyodziano Szarego, i po pożegnaniu, a błogosławieństwie biskupa Matjasza, wojewodzina z nim wyruszyła w drogę.

Jesień była późna, pospieszyć z rannym, choćby i chciano, nie pozwolił lekarz, musiano się wlec nogą za nogą. Wojewodzina, miasto na drugim wozie spoczywać, niemal całą drogę, pieszo szła z różańcem w rękę, jakby pielgrzymkę pobożną odbywała... Była też to pielgrzymka miłosierdzia.

Florjan leżał osłonięty, coraz to się po cichu rozpytuje, kędy byli, jak się miejsca zwały, ile drogi zrobili...

Jemu podróż wydawała się nieskończoną, a im się bardziej ku Pilicy zbliżali, tem niepokój rósł.

Zdrowie się nie pogorszyło w drodze, bo je nadzieja utrzymywała... Uśmiech czasami zjawiał się na bladej twarzy jego—to go spędzał niepokój.

Wojewodzina, sama w trosce o męża, krzepiła go jak mogła...

— Miłościwa opiekunko moja — rzekł jej jednego wieczora Florjan, gdy go ludzie na noc do izby wnieśli... — Myślę ja sobie o żonisku i dzieciach... Kto tam wie, czy do nich doszło co już o bitwie, a o mnie pewno żadnej wieści nie mają. Co się tam z niemi dzieje, jeżeli Domna wie, że naszych tyłu padło??

Jak mnie tam na wozie im przywieziecie, gotowi pomyśleć, że im trupa odsyłają z pobojuwiska...

Półtora dnia powolnej drogi, jeszcze zostawało do Surdegi, gdy wojewodzina odezwała się.

— Chcecie, to pojedę przodem do waszej?

Florjan odpowiedział tylko spojrzeniem wdzięcznym.

Nazajutrz wojewodzina, starszego sługę zostawwszy przy Szarym, sama pospieszyła do Surdegi, jednego dnia się tam dostać spodziewając...

Ludzie, choć im drogę dobrze rozprowadziano, pobłądzili trochę i noc nadeszła, a Surdegi widać nie

było... W ostatku po przepaściwych groblach i moczarach wlokąc się, wóz złamano, koło pękło i z jednym z czeladzi musiała Halka pieszo iść, szukając schronienia.

Wedle powieści ludzi, zamek miał być niedaleko...

Uradowała się wielce, gdy na pagórku ujrzała zabudowania, a w nich światło.—Nie wątpiła wcale, iż gródek być musiał, do którego dążyła i, dobiwszy się po grobelce do wrót, słudze stukać kazała...

Wrzawę jakąś słyhać było na zamku, dla której pewnie, bicie do bramy, nie rychło usłyszano, aż wrótny się zjawił klnąc, z drzazgą w rękę, a za nim kilku strasznych parobków, którzy na widok kobiety samej ze służką—śmiać się okrutnie i do środka wojewodzinę ciągnąć zaczęli.

Przeleżała się w pierwszej chwili, widząc, iż chyba omylić musiała, lecz mężna i przytomna wnet odzyskała odwagę — odparłszy więc groźnie tych, co ją za ręce chwytały, poczęła naprzód pytać o Surdegę...

— Toć to! trafiliście, jak raz... Surdega jest—zaśmiał się jeden z chłopów...

Wojewodzina stała jeszcze w progu, gdy rozpychając gromadę tę, zjawił się mężczyzna, twarzy dzikiej, na którego widok wszyscy roztopili się i umilkli. Poznała w nim pana...

Śmiało więc ozwała się do niego, z zapytaniem, czy to w istocie Surdega była...

Zagadnięty nie odpowiedział na to pytanie.

— Powiedźcie mi, kto wy jesteście i jakim sposobem się tu znajdujecie? — rzekł gburowato — ja to naprzód prawo mam wiedzieć...

— Jadę z rannym, z pobojuwiska pod Płowcami, gdzie król moc krzyżacką pobił na głowę, a mąż jej, zowie się Wincez z Pomorza, wojewoda Wielkopolski.

Nachmurzył się słuchając—ten który badał i głową potrząsł...

— Ranny? któż ranny?—spytał...

— Florjan Szary...



Pytający, Nikosz Bąk, rozśmiał się na całe gardło...

— Że go nie zabili—tego...—zawołał.

Wojewodzina z tego wykrzyku domysliła się, w czyje ręce wpadła, a dość jej o nim rozповідаł Florjan. Nie strwożyła się tem jednak...

Zamiast wyrwać się precz, postąpiła dumnie kilka kroków.

— Widzę — rzekła — zem nie trafiła do Surdegi, jakom chciała, ale pod nieprzyjacielski dach. Przecież żonie wojewody królewskiego i tu odpocząć dadzą...

Nikosz milcząc, cofnął się.

Naprzeciw drzwi stały otworem, w których się świeciło.

Śmiało wojewodzina szła ku nim. Nikosz nasępiony za nią, reszta ludzi prowadziła ich oczyma zdala...

Izba, do której weszła Halka, niska, obwieszona do koła odzieżą, bronią, skórami pobitych zwierząt, miała duże ognisko, na którym ogień płonął z jednej strony, z drugiej wysłane łoże na ziemi. Dwa psy wyciągając się, mručeniem przyjęły gości...

Nikosz, jakby jeszcze niepewien był, co pocnie, wskazał miejsce na ławie, sam stojąc przed nią.

Halka usiadła

— Król pobił krzyżaków? — zapytał gospodarz.

— Zwycięstwo wielkie Bóg mu dał, starszyni i rycerstwa zginęło wiele... — rzekła wojewodzina.

— Szary ranny?—he?—mruknął Nikosz...

— Ranny, ale mu to wyjdzie na dobre, dał Bóg—poczęła wojewodzina spokojnie. — Bił się jak lew... Broniący go Krzyżacy trzema włóczniami brzuch mu rozpruli...

— Ha! — rozśmiał się Nikosz...

— Nadjechał potem król—ciągnęła Halka, patrząc na gospodarza — i zobaczywszy go tak strasznie okaleczonym, zawołał.

— Co człowiek ten cierpi... Szary zaś miał jeszcze tyle siły, iż królowi odpowiedział... — Mniej ja tu cierpię, niż od złego sąsiada!

Nikosz przerwał takim wykrzykiem, i pięści mu się nagle ścisnęły tak groźnie, iż innaby niewiasta uległa się go — wojewodzina spojrzała nań tylko i dodała.

— Otóż król mu swe słowo dał na pobojuwisku, że go od sąsiada uwolni...

Nikosz, któremu oczy zdawały się z pod powiek wyskakiwać, usta zagryzł i krok się cofnął... Milczał długo...

— Król! król!—wyjąknął szydersko... ale z twarzy i głosu, poznać było można, iż sam przed sobą kłamał odwagę, której nie miał.

Począł się w patrywać w wojewodzinę, niedowierzająco, ale razem trwożliwie.

— Gdzież ranny ten... jest?—zapytał...

— Leczy go królewski doktor, kanonik Wacław w Brześciu na Kujawach—odparła wojewodzina... — Król mu go sam polecił...

— Król! król!

— A cóż król ten, sąsiadowi zrobić może?—ozwał się po chwili zadumany...

— Albo to kobieta jak ja, wiedzieć ma?... Jam się podjęła tylko żonie dać znać, że żyw jest, i z tem jechałam do niej...

Wóz mi się na drodze ułamał.

Nikosz słuchał dumając ciągle.

— Król! król!—zamruczał pod wąsem...

Alenie w smak mupono była ta zapowiedziana opieka pańska. Zawrócił się od ognia wgląd izby kilka kroków, przyszedł bliżej i wojewodzinie się przypatrywał bacznie.

Walka jakaś w nim, toczyła się widocznie, która dlań była nieprzyjemną.

— Jakaście ludzie, rzekła Halka po chwili, pomóżcie mi, abym się do Surdegi dostać mogła.



— A mnie co wy i Surdęga waszał — zżymając ramionami zawołał nagle Nikosz. Może to ja jestem tym sąsiadem, na którego ten pies, co go trzy krzyżackie włócznie nie dobiły, skarżył się królowi?.. To ja za to, że on mnie nasadził króla, będę wam pomagał dla niego?

Rozśmiał się na głos...

— Gdybyście to uczynili, rozum byście mieli, nie powiem już więcej... bo lepiej wam pono króla nie gniewać i nie drażnić. Mały on jest, ale ręce długie ma...

— Jakby to wszystko prawda była! — ze śmiechem odparł Nikosz...

— Wolno wam wierzyć lub nie, zawołała wojewodzina. — Czyńcie jak wam lepiej.

I zamilkła dumnie, Nikosz popatrzył na nią. Dziwnem mu się to zdawało, że słaba, jedna kobieta, w jego rękach będąca, wcale się go lękać nie zdawała, i takie męztwo okazywała.

Mieszało go to widocznie, przeszedł w koniec izby zamysłony, mruczając coś sam do siebie.

Wojewodzina wstała z ławy, otrzęsła nieco obmokłe suknie, zwróciła się ku niemu.

— Dacie mi ludzi do pomocy? — zapytała.

Nikosz podumał znowu.

— Ludziom i mnie, trzeba za to zapłacić, rzekł gburowato. — Innego czasu i z was by mi się okup należał, bo odemnie nikt tak nie wyszedł bezkarnie... dodał patrząc na nią, ale z babami wojować nie chcę...

Zapłacicie — pośle po wóz ludzi.

— Zapłacę — cóż mam robić! jeżeli u was taka gościnność! — odezwała się wojewodzina.

— Jam nie chłop, abym przewód dawał darmo — ofuknął Nikosz...

— Zapłacę — potwierdziła Halka...

Nikosz ku drzwiom podszedłszy, wychylił głowę na swoich huknął. Czekali oni w pobliżu, może

innego spodziewając się końca, gdy im kazał światło wziaść i wozu pójść szukać...

Stało się, jak zlecił. Tymczasem udobruchany nieco gospodarz, może napomnieniem o gościnności zawstydzony, jedzenie kazał podać...

Sam stał nieco opodał i znowu o Florjana, o rany jego, o przygodę i rozmowę z królem rozpytywać począł. Wojewodzina powtórzyła mu, co powiedziała wprzód, rozwodząc się nad tem, jak król sam wielkie miał o rannych staranie.

Nikosz mruczał — król! — śmiał się, ale jednak niepokój go ogarniał.

Dawszy się posilić wojewodzinie, sam potem ogień na kominię przykładając i potroszę jej służył, zbywszy się pierwszej swej gburowatości.

Na ostatek o sobie mówić zaczął z żalem i bólem wielkim, że mu sąsiad wziął, co on najdroższego miał, że gdyby nie on, Domny by był dostał i na ziemianina takiego wyszedł jako drudzy...

— Zalał mi on za skórą, com nie miał mu oddać! zawołał... Król nie wie nic... niechby mnie posłuchał...

Złagodniał wreszcie, na świat i ludzi tylko narzekać poczynając, gdy służba wóz wojewodziny przeprowadziła. Nie upominając się już o zapłatę Nikosz, koło podprawić kazał i dał przewodnika do Surdęgi...

## IX.

Radość i przestrah razem przyniosła z sobą żona wojewody, przybywszy w nocy do zameczku, który zawsze jeszcze w obawie o sąsiada, tak czujną był otoczony strażą, jak czasu wojny.



Wrót jej w początku otwierać nie chciano, chociaż mówiła im o sobie i o Florjanie—obawiano się zdrady. Nareszcie wyszedł stary ojciec na wyżki, rozpatrzył się w szczupłym orszaku wojewodzinej, i na zamek ją puszczone.

Domna stała tu już, z mniejszem dziecięciem na ręku, posłyszawszy o mężu, niecierpliwa, by się coś o nim dowiedzieć.

Wieść o bitwie pod Płowcami głucha i niepewna, doszła tutaj, ale z niej o losie tych, co walczyli, nie wniesć nie było można.

Opowiadano, że padło ich wielu, że zwycięstwo było okupione drogo.

Wszyscy więc tu w trwodze byli o Szarego, wiedząc jak rad niebezpieczeństwa szukał i siebie nie szczędził.

Wojewodzina poczęła od tego, że im oznajmiła o Florjanie...

Domna poskoczyła do niej żywo, z radością rązem i niepokojem, nie umiając sobie wytłomaczyć, co wojewodzina w tych stronach—mogła mieć za sprawę i dla czego się tu znajdowała.

— Jam ci też Leliwianka—rzekła przybyła Halka—i dla tego się czuła obowiązana, Florjanem zaopekować.

— A on! on! gdzież jest?—zapytała Domna.

— Nadaży wkrótce, odezwała się Halka—wyście mężnego serca niewiasta, nie będę więc tała przed wami, że rannym był w bitwie...

Domnie oczy się zalzały, dziecko przycisnęła do piersi.

— Ranny był? — szepnęła, pilno się wpatrując w mówiącą.

Stary ojciec drżał słuchając...

— Dziś już rany znacznie pogojone, a że mu pewno nigdzie lepiej być nie może, jak w domu, więc przybędzie wkrótce...

Wszystko to Domnie się jeszcze nie dość wydawało jasnem—stała, czekając coś więcej.

Weszły razem do dolnej izby, w której młoda pani ze swemi prądkami i dziećmi siadywała wieczorami. Stary powłókł się za niemi...

Wojewodzina obejrzała się do koła, zaczęła poodróżną odzież zdejmować, ale nie spieszyła z opowiadaniem, na które oczekiwano.

— Pani moja miłościwa—odezwała się podchodząc ku niej Domna, która dziecię złożyła w kolebce...—Nie kryjcie nic przedemną — mówcie mi o moim... wszystko.

To, czem się Bogu jego dotknąć podobало, ja z nim podzielać powinienam.—Bóg mi da mężtwo! ja wszystko chce wiedzieć!

Jestem córką ojca, który za młodu rycerzem był, ród mój cały nie inną sprawą się parał—my niewiasty ich, choć zbroi nie wdziewamy, serca zbroić musimy...

Uściskała ją wojewodzina.

— Siostro ty moja—rzekła z rozrzewnieniem—my! my wprawdzie ran nie odnosim, krwi nie lejem, ale odboleć musimy za wszystkich—i w naszych sercach odbija się, co oni cierpią...—Bóg z tobą. Florjan żyw powraca, zdrów będzie, ale wycierpiał wiele.

Trzy krzyżackie włócznie, rozdarły mu wnętrzności—cudem ocalony został... Jedzie on tu i jutro będzie przy tobie...

Król sam znalazł go na pobojuwisku, a mężny człek, gdy nad nim się użalał, jeszcze miał siłę mu się poskarżyć, że od sąsiada cierpiał więcej, niż od tych ran, które mu włócznie zadały...

Domna rękami zakryła twarz... Starzec załamał dłonie, milczeli wszyscy, wojewodzina dalej mówiła.

— Król mu przyrzekł, że go od sąsiada uwolni, sam opatrzyć go kazał, i dziś już niema niebezpieczeństwa...

Z płaczem rzuciła się młoda pani dziękować zwia-



stunce, potem jak nieprzytomna pobiegła ukłknąć i pomodlić się, potem chciała natychmiast choćby na koń siaść i na przeciw męża jechać—lecz Halka nie-dozwoliła na to, ojciec się oparł...

Wojewodzina nie powiedziała nic jeszcze o swej bytności u Bąka, i teraz dopiero, gdy Domna zaczęła się kłopotać, aby mściwy sąsiad nie napadł w drodze na Florjana, o swojej przygodzie mówić poczęła.

Wszyscy wydziwić się nie mogli, iż z niej cało wyszła.

— Powiedziałaś ja mu, dodała wojewodzina—o tem, co król przyrzekł Florjanowi, i zdaje się że Nikosz, choć się uśmiechał z tego, musiał wziąć do serca królewskie słowo...

Domna się przecież nie uspokoiła, póki na przeciw męża ludzi kilku zbrojnych nie wysłała...

Halka, która choć z dala, patrzyła niemal na straszną walkę pod Płowcami, i dla męża swego, o którego się lękała, o najmniejsze jej szczegóły dopytywała, poczęła teraz opowiadać o tym dniu pamiętnym, w którym krzyżacka duma ukróconą, a okrucieństwo ich ukarane zostało...

Co żyło we dworze, cisnęło się słuchać do izby, pode drzwi, i milczenie uroczyste, okrzykami radości i znakami krzyża świętego przerywane tylko—panowało w czasie powieści Halki, która sama się nią zapaliła i unosiła...

Młoda pani swym mężem i jego mężstwem bohaterskiem, czuła się dumną. Łzy jej wysychały od tego uczucia radości i czci dla człowieka, który tak prostym być umiał, tak skromnym, a tak rycersko w życiu się całem sprawował...

Rósł w jej oczach ukochany mąż, potężnego ducha, który blizki śmierci będąc, pamiętał o tem tylko, aby królowi rodziny swej spokój i przyszłość polecić.

Przy nim maleli inni, którzy wielkimi być chcieli, a nie mieli cnoty jego żelaznej... zwyciężającej cierpienie, urągającej się śmierci...

— Mój Florek!—powtarzała sobie z bijącym sercem i wracającymi do łez oczyma... Mój!

Całowała dzieci i chciałaby była powiedzieć im, jak mile czcił ojca—nato jej słów brakowało...

Nazajutrz zameczek od rana gotował się jak do uroczystości wielkiej, na przyjęcie swojego pana.

Wieść od dworu poszła po wioskach — z echem królewskich słów i obietnic.

Gromady zbierały się witać wracającego na granicy. Ze wszystkich wsi, postrojony świątecznie lud, cisnął się na drogę wiodącą do zameczku.

Opowiadano sobie i to co było i to, co każdy z serca dodawał do powieści o trzech włóczęniach i o złym sąsiedzie. Historia stawała się już legendą, która wieki przetrwać miała.

Na zamku Bąka, postrzeżono ten ruch wielki i niepokój około Surdegi, lecz ztąd nikt się nie ruszył, ni pomagać, ni przeszkadzać. Z za ostrokołów Nikosz patrzył niespokojnie, rozkazawszy zamek zaprzec, a ludziom broniąc wychodzić z niego; jakby się lękał o siebie.

Domna zaraz dała znać do Lelowa, z kąd brat jej i co żyło, skoczyło także na spotkanie Florjana.

Z woza swego, przysłoniętego skórą, Szary zbliżając się ku domowi, wyglądał coraz niespokojniej. Znajoma okolica dozwalała mu obliczać czas i odległość, mierzyć biciem serca zbliżanie się do Surdegi.

Napróżno jednak naglił i prosił powożących, aby pospieszali—rozkaz był wydany, aby раннего wieźli powoli, wozowi się nie dając przechyłać. Szli słudzy z obu stron po złych przeprawach podtrzymując go, aby wstrząśnienia nie czuł. Lecz o ranach swoich i o cierpieniu zapomniawszy Florjan, tak pilno mu było swoich zobaczyć, Domnę uściskać.

Dobili się tak do granicy gdzie krzyż stał, a koło niego ludzi kupa... Włodarz z częścią gromady z Lasek i Woźników, podbiegł pierwszy do pana.



Stary sługa po nogach go całował, a gromada wołała radośnie i ciągnęli z nią dalej. Czuł się już między swojemi.

— Miły Boże! — mówił w duchu, leżąc na pobojowisku, gdyś sądził, że mi już ostatnia nadeszła godzina, czym się ja spodziewałem, że tej chwili dożyję?

Gdy przeciągali na przeciw zameczku Bąka, drżącą ręką Florjan nieco skórę odgarnął i spojrzał na Wilczą górę. Stała, jakby na niej żywej duszy nie było—choć skrycie wiele oczów ciekawych patrzyło z niej na ten orszak, posuwający się dołem ku Surdędze.

— Hej! hej! — mruczał Nikosz z za płota—prowadząc go, jak z pogrzebem idąc. Któż wie? Może mu życia nie wiele zostało, a z nim, gdy zdechnie, i obietnica królewska pójdzie do dołu.

Stanął wóz nagle, choć do zamku jeszcze kawał drogi było—przed Florjanem ukazała się siwa głowa ojca i biały czepiec żony, na ręku trzymającej dziecinę.

Plakali wszyscy i ściskali ręce, a mówić nikt nie mógł...

Gdy wóz się zatrzymał w podwórzu, a ludzie na ręce wzięwszy Szarego, do izby go nieśli—on trzymając za rękę żonę, uśmiechał się wesoło do niej i do dziecka.

— A no! — zawołał — smutkom tym i łzom daćby pokój! Jest się z czego radować i Bogu dziękować.

Podniósł do góry drugą rękę i zakrzyczał wesoło.

— Ojcie kochany, kubka, choć kroplę wypijemy prze zdrowie króla i korony naszej...

Do żony się zwrócił.

— A wy! odezwiście się co wesołego. Piosnkę

zanucić! Rycerska rzecz zawsze dobrej myśli być w złej i pomyślnej doli równo.

Wziął kubek podany i do ojca obracając się.

— Króla zdrowie! niech nam długo i szczęśliwie panuje!

X.

Od powrotu Florjana, choć na zamku zawsze się po staremu strzeżono od sąsiada—Bąk najmniejszego powodu do obawy i znaku życia nie dawał.

Na Wilczej Górze wszystko się zdawało usypiać, jakby go w niej nie było. Ludzie nawet jego, dawnym swym zwyczajem, psot żadnych nie czynili.

Stary Dalibor, zawsze niedowierzający, utrzymywał, że chyba podle owe czleczyisko coś bardzo niegodziwego gotuje i ma na wątrobie. Nie dawało się to jednak czuć wcale.

Tymczasem wojna się skończyła, z Krzyżakami niby to jakieś układy i pokojowe rozmowy poczęto, choć w dobry ich skutek nikt nie wierzył. Tracono tylko czas, który oni zyskać chcieli, a do końca dobić się z niemi nie było można.

Króla Jana odpędzono od Poznania, doma ludzie trochę spokojniej oddychali do czasu.

Szary zaraz po godach wstawać począł, chodzić, z włodarzem się naradzać, na koń mu się chciało, ale żona nie dozwoliła się wybrać, dopóki by do lepszych sił nie przyszedł.

Często gęsto wspomniano o królu, czy też on o-bietnicę swą strzyma.

— Król stary, a ma tyle na swej głowie spraw



głównych iż pewnie zapomniał, co mu się na pobojowisku z ust wyrwało, mówił ojciec.—Nie grzechby mu było pokłonić się pójść i przypomnieć.

— Nie uczynię tego—odpowiadał Florjan. — Nikosz jakoś cicho siedzi, a iść do króla po zapłatę za krew, nie ziemiańska rzecz, ale żołdacka. Dla swojej ziemi i dla korony Chrobrego!

Tyle zrobimy, że kozła na Helm wyprawim, a moje trzy włócznie w tarczę włożym tak, jak one mi w brzuchu tkwiły! Dość mi na tem.

Żona nigdy się mężowi nie sprzeciwiała, dla niej on zawsze słuszość miał. Ojciec też zamilkł, nie nalegał.

Począł się Florjan coraz pilniej krzątać około domu, bo się wcześniej jakoś na wiosnę zbierało, a na wsi nim ona przyjdzie, trzeba być gotowym na jej przyjęcie.

Z Krakowa jak nie było, tak nie było wieści żadnej.

Ale poczęły po kraju chodzić pogłoski, że Kzyżacy się znowu na Kujawy wybierają i na Brześć chcą ciągnąć.

Drogi ledwie obsychać zaczynały, gdy dnia jednego do izby chłopak wpadł, do siedzącego na ławie pana wołając, że do zamku ktoś w kilkadziesiąt koni ciągnie.

— A no!—odparł spokojnie Florjan — jak gość przybędzie, wrota mu otworzyć, czem chata bogata... Dostojny pan, czy ubogi człek, tem go przyjmę, co mam, choćby i król sam, więcej nie dam nad to co mogę.

Jeszcze sobie tak wesoło żartował, a żona do okien wyglądać, gdy od wrót szum się stał—wołano...

— Wojewoda!

Stary z Florjanem wyszli naprzeciw niego.

Zsiadał właśnie z konia, rozglądając się po zameczku, a twarz miał dosyć wesołą.

— Oho! zawołał do Szarego, patrząc nań—jużście to na nogach?

— Dzięki Bogu, a pono w sam czas — odparł Florjan z pokłonem, bo coś o wojnie bąkają. Krzyżacy na Brześć mają ciągnąć. Trzeba będzie spróbować na siodło.

— No, wy jeszcze spocząć możecie—odpowiedział Hebda, tej biedzie na Kujawach jednakże jesteście winni, że gdy o nie była mowa u króla — stary sobie was przypomniał i nakazał mi zaraz jechać, abym złego sąsiada okupił, choćby najdrożej.

I z tem ja do was przybywam.

— Bóg zapłać królowi panu.

Wprowadzili do izby wojewodę. Przyjmowano go serdecznie, ale po ziemiańsku, jak Florjan mówił, chlebem powszednim, dostatkiem domowym, żadnego nie czyniąc zbytku.

Po kubku jednym, drugim, odezwał się Hebda.

— A co, miły bracie—u mnie czasu omal zawsze, zawezwaćby go tu w imieniu króla i...

Syn i ojciec, oba głowami potrząśli.

— Jakośmi żywi, ten zbój naszego progu nie przestąpi. Darujcie panie wojewodo, ani on nie zechce, ani my tego dopuścimy...

Stary wtórował—Hebda się zadumał, nie w smak mu to było.

— Nadtośmy sobie nadojedli — mówił Dalibór. Człek zły jest i my z nim zgody niechcemy, bo z takim jak on, družba nie potem. Niech idzie na kraj świata, by go nasze oczy nie oglądały, i tyle.

Nie spierał się już wojewoda. Dworu swojego część zostawił w Surdędze, konia kazał przyprowadzić i pojechał sam do Bąka.

U niego ciągle jeszcze od powrotu Florjana, cicho było i pusto... Ludzie nawet z Wilczej Góry nie za dzierali się z chłopami z Woźnik jak dawniej, do bójek na granicy i po lasach nie przychodziło.



Zdawało się, jakby i sam Nikosz zmęczył się tem, i spokój wolał.

Wojewoda przodem posłał urzędnika swojego z la-ską białą, aby oznajmił, powiadając, że od króla był wyprawiony.

Gdy nadciągnął, wrota już stały otwarte na oścież, a w nich Nikosz czekał ubrany na prędce w szubę dostatnią, z łańcuchem na szyi, w kołpaku na głowie sobolowym, z mieczem u boku. Straszniejszym i brzyd-szym był jeszcze, niż zwykle.

Twarz miał jak wosk żółtą, a oczy mu biegały jak u kota, gdy psy za nim gonią.

Wprowadził milcząc Hebde do izby, w której, zda się, na umyślnie służba dzbanów srebrnych i kubków stawiała więcej, niż było potrzeba, aby się boga-ctwem pochlubić. Zbieranina to była różności, nie jednej matki dziatki, jakby i z kościołów i ze dworów się to pochodziło, ale błyszczało.

Wojewoda nim siadł na ławie, rzekł...

— Jadę do was, od króla z rozkazaniem... Musi-cie mu z tej posiadłości ustąpić, nie komu ale królo-wi samemu.

Nikosz głowę bardzo nisko skłonił, ale śmiał się szydersko.

— A jakbym ja dać jej nie chciał? — zapytał.

— To król znajdzie za co dać was sądzić, bo skarg i żalów na zbytki wasze dosyć jest. Więc i ziemia się nie ostoi—i głowa w dodatku...

Bąk szuby poprawił.

— Z królem a z biskupem—rzekł—ziemianinowi się nie borykać. Wiem ci ja zkąd to wszystko pły-nie, za co na mnie ta groza... Siłaby mówić o tem, ale mnie nie posłuchają.

— Słowo wam nie pomorze nie — przerwał woje-woda. — Mówić możecie, co chcecie, a ziemię królowi trzeba dać.

Nikosz się strząśł tylko.

— Wojny prowadzić trudno!—burknął.

— Król niczyjej krzywdy nie chce—ciągnął dalej Hebda, przypatrując mu się ciekawie.—Otóż wiedźcie, że wam daje ziemi w dwójnasób tyle, koło Nowego Sądcza. Jest i dwór i ludzi trochę i młynek.

Nikosz począł słuchać z uwagą większą, kła-niał się.

Wojewoda odpowiedzi czekał, ale jej nie otrzymał. Bąk milczał, tarł w rękę poję sukni i w ziemię oczy wlepiwszy, ustami ruszał.

— No, cóż?—zapytał Hebda.

— Cóż ma być!—zamruczał Nikosz—kiedy mus...

— Zatem — podchwycił wojewoda prędko—czem prędszy koniec tem lepszy. Wynieście się rychło a w Sądeczyczynie osiadłszy, z ludźmi żyjcie w zgo-dzie; aby na was żalów i skarg nie noszono.

— Miłościwy panie—zawołał, zwolna głowę pod-nosząc Nikosz—człek, gdyby chciał ze skóry swej nie wylezie. Będą mi ludzie dobrzy, będę im druhem; zajdzie mi kto w drogę, jako tu Szary, krew nie woda.

Raz człek żyje i raz umiera.

Musiał wojewoda podany kubek przyjąć, choć mu się pić nie chciało. Miód był stary i jak smoła czarny.

Nikosz począł rozwodzić żale, a sam pił chciwie i dużo. Blade jego lice rozgorzało i z żółtego stało się niemal sinem, widać było, że się w nim burzyło wszystko.

Hebda słuchał obojętnie.

— Kiedyż mi puścicie wasz gródek? — zapytał — bo ja tu urzędnika mojego do odbioru zostawić muszę.

Nikosz się trochę nasrożył.

— Wypędzacie mnie — rzekł — pilno się mnie im pozbyć.

I chwilkę podumawszy, rzekł ze złością.

— Za dzień, za dwa, wozy moje gotowe będą,



byłem zaraz tamtę ziemię dostał... pójdę ztąd, pójdę bez żalu...

— Ziemię król przeznaczył i rozkazy a pisanie dostaniecie w Krakowie — rzekł wojewoda.

To powiedziawszy, wstał zaraz Hebda i przynaglając jeszcze, począł iść do konia.

Razem wyszli w podwórze, gdzie już urzędnik czekał, który miał pozostać, aby mu zamek był zdany.

Nikosz uśmiechnął się, spojrzawszy na tego przystawę, którego mu dawano — nie opierał się.

Wojewodę do wrót odprowadziwszy, z pychą wielką do swojej izby powrócił.

Hebdzie pilno było, więc ledwie do Surdegi zajechawszy z dobrą nowiną nie patrząc nocy, która nadchodziła, natychmiast dalej pociągnął.

Radość była wielka, jakby wszystkim z serca kamień spadł, króla pod niebiosa wynoszono. Teraz dopiero swobody zażyć mieli, wrota otworzyć, zbyć się nieustannej trwogi. Florjan z ojcem naprzód już układali, jak ziemię której obszar był znaczny, osadzać będą, gdzie młyn pobudują, jak w lasach z barciami się rozgospodarują, bo pszczoł był dostatek, a z nich ziemianinowi najwięcej grosza płynęło.

Domna uśmiechając się mówiła.

— Barcie dobre, ale sen spokojny jeszcze lepszy.

Stary Dalibór niemal po całych dniach, na wyżkach stał wypatrując, kiedy się ten Nikosz w drogę wybierać zacznie. Przez trzy dni nie widać nie było, czwartego otwarły się wrota, wozy zaczęły wyciągać, potem stado pędzili, dalej ludzie szli i jechali, całym obozem, kobiety i dzieci.

Droga najprostsza byłaby im musiała iść koło Surdegi, ale umyślnie sobie dalszą i gorszą wybrali, aby się im nie przypatrywano i nie urągano.

Do wieczora ciągle się jeszcze coś z Wilczej Góry wlokło, aż nareszcie i psa nie zostało. Urzędnik dał znać, żeby przybywano, bo nikogo nie było.

Włodarz posłany, bo ojcu i synowi nie było pilno, zastał pustkę jak po Tatarach — i urzędnika, który już się w drogę wybierał, podarku nie czekając, bo mu pobyt u Nikosza dokuczył.

Florjan nie śpieszył do nowej posiadłości, ludzi tylko wysłał, aby gródek osadzili i opatrzyli wszystkie kąty. Dalibór chciał się sam wybrać, lecz syn go po rękach całując, zatrzymał.

— Djabeł tam mieszkał długo — rzekł. — Poślemy naprzód po księdza, niechaj wszystkie kąty poświęci i oczyści słowem Bożem.

Natychmiast więc włodarz z wozem po wikarego pojechał, i nazajutrz owo gniazdo plugawe pokropiono wodą święconą, aby je dla Szarych przystępnem uczynić... Mogli więc już zjechać bezpiecznie, lecz Florjan się i teraz nie kwapił. Odłożyli do jutra.

Szli tedy spocząć i Dalibór w swojej izbie właśnie miał się do snu położyć, bo zawsze najpóźniej szedł na spoczynek, a wstawał najraniej, gdy przez szczyliny okiennicy dostrzegł promyk jakiś, jakby na dworze coś świeciło.

Odsunął prędko okienniczkę i — stanął przerażony.

Ogromna łuna gorzała na niebie. Nie mógł się w początku z przestachu opamiętać, gdzie pożar się wszeźgał i zląkł o samą Surdegę, ale ogień, choć blizki z za wałów się ukazywał.

W tem i stróżę poczęli wołać.

— Gore!!

Płoneły zabudowania na Wilczej górze, do których już z wiosek biegli ludzie na ratunek.

Ani oni jednak, ani ci, co na zamku byli, ogniowi straszemu nie mogli dać rady, ani się nawet zbliżyć do niego.

Zabudowania podpalone na wszystkie cztery rogi, gdyż pakuły i smołę poznajdowano pod ścianami, gorzały tak szybko, iż ci, co w izbach spać się pokładli, ledwie uszli z życiem.



Nie dość na tem, chałupy i szopy na podzamczu, które dla nowych osadników służyć miały, płonęły też wszystkie i do rana nie zostało z nich nic, oprócz kupy popiołów...

Ostatnia to była zemsta Nikosza Baka, który wszystko zdawszy w całości, postarał się o to, aby po nim Szary nie wziął nic, oprócz pustki i zgłiszcza.

— Kat go bierz—zawołał Florjan patrząc na pogorzel zdala—ja na tej górze nie pobuduję nic, niechaj pustką stoi, a świadczy na wiek wieków, o miłym sąsiedzie!!

## XI.

Było to w roku następnym 1332, na dni kilka jakoś przed uroczystością narodzin św. Jana Chrzciciela, Florjan z ojcem i żoną, brata Leliwę i kilku ziemian przyjmowali u siebie.

Powieściom o zwycięskiej owej wyprawie starego króla pod Płowce, nie było końca; bo gdziekolwiek się Szary ukazał, nie dawano mu spokoju, zagadując go o to co widział, słyszał, czego naówczas był świadkiem.

Mówiliśmy już, że owe trzy włócznie Krzyżackie, które meżnego rycerza przebodły, wziął on był sobie do szczytu, a że stary swój w Krakowie przemalować kazał. Opatrywano tarczę nową, skórą ociągniętą i gwoździemi złocistemi obitą, na której dosyć misternie skrzyżowały się trzy kopje, zawołanie też rodu z Koźlarogów zmieniło się na Jelita... aby dzieci i wnuki pamiętały, czem swój szczyt opłacił nowy.

Setny może raz Szary powtarzać musiał, jak to

król długo potajemnie za Krzyżakami chodzić musiał, wyczekując chwili, gdy się pomścić będzie mógł za kraju niszczenie; jak wojewodę Wincza pocziwa żona odwiodła od zdrady, z królem pojednała, skłoniła go aby Krzyżaków porzucił.

— Święta to niewiasta—mówił Florjan—nie żałowała trudu, nie zważała na niebezpieczeństwa, i męża ocaliła od sromu, a król z jego pomocą pokonał Krzyżaków...

— Prawda to—odparł Leliwa—że juści potroszę to złe, które uczynił, naprawił. Król mu przebaczył, zatarło się niby, a no szlachta wielkopolska nie zapomniła mu, że z Krzyżakami majątności jej najeżdżał.

Potem com słyszał, w skórze jego do dziś dnia bym nie chciał być.

— Mój bracie—odezwał się Florjan—ziemianie nasi, prawda, na razie krwi są bardzo gorącej, i gdy ona w nich zakipi, rąbać i zabijać gotowi, ale też nikt tak prędko nie ostygą jak my.

Wojewoda do domu powrócił, ludzie z lasów też i na nowo poklećli chaty; straty się po troszę zapomniały—dadzą mu pokój. Ma to za sobą Wincz, że Krzyżackiemu łupieztwu na żaden sposób zabieżeć nie mógł.

— Ale się na nie patrzył, ale z niemi chodził—dodał Leliwa—Nałęczcie nie Nałęczcie gromy nań ci skają, on wszystkiemu winien. On!

Mówię ci, w skórze jego nie chciałbym być. Z dobrego źródła to wiem, że się nań naposiedli, i że go zgładzą, a z nim wszystkich, kto żyw...

Florjan się porwał z siedzenia niespokojny.

— Niechże Bóg uchwala!—zawołał.—Gdybym wiedział, że mu grozi w istocie niebezpieczeństwo, jemu i Halce pobiegłbym na pomoc, bo mi tej kobiety żal okrutny...



Leliwa głową pokręcił.

— Niewiele byś tam pomógł — rzekł. — To wiem, że nań spisek jest, że ludzi do niego należy siła, i że im nie ujdzie!

Grzymała opowiadał, niedawno powróciwszy ze zjazdu ziemian, który we Środzie był, iż tam się sprzyśęgali nieprzyjaciele wojewody, krzywd swych na nim powetować... Zdrajcy łeb ściąć, z rodziny nikogo nie szczędzić i wszystko z dymem puścić...

Szary się wzdrygnął.

— Jeżeli tak jest — rzekł — jutro na koń z ludźmi siadam i do Pomorzan muszę.

Rzucili się mu wszyscy odradzać, poczynając od ojca, ale Szary twardo przy swoim stał.

Nie może to być, abym naszą powinowatę, która mnie chorego pielęgnowała i do domu wiozła, opuścił...

Pomogę nie pomogę, powinność spełnię.

Domna nie mówiła nic, błagając patrzyła na męża. Dalibór rozjątrzonego łagodził.

— Bajki plotą — szeptał cicho — darmo się zerwiesz, a i ludzi sobie narazić nie dobrze... Dać temu pokój. Palca we drzwi wkładać nie trzeba.

Florjan milczał, lecz po wyjeździe Leliwów drugiego dnia w drogę się wybierać zaczął...

Ludzi dobrał sobie zbrojnych kilkunastu, żonę pożegnał, ojca i ruszył najprostszymi drogami na noc całą.

O mil sześć od domu, przyszło spocząć. W gospodzie siedzieli podróżni przy piwie. Jechali do swoich do Sieradzia, a byli wielkopolanie.

— Co tam słyszać koło Poznania? — zapytał Szary.

Wąsaty, gruby ziemianin śmiać się począł dziko.

— Dobrze słyszać! dobrze — rzekł, panosząc się i w bok biorąc — łotrów łby ścinają, aby drudzy się kajali.

— Jakim? komu? — rzekł Florjan poblądziwszy nieco.

— Tak ci jest, tak — ciągnął dalej podróżny. — W samą wigilję narodzenia Ś. Jana Chrzciciela nasi najechali na dwór w Pomorzanach — i stała się sprawiedliwość, zdrajcę wojewodę posiekano w kawałki, nie zostało żywej duszy...

Kara boża, choć przez ręce ludzkie. Amen.

KONIEC.

MUZEU  
JIK  
ROMANOWIE

285



